

AS



Nr. 36
5 WRZEŚNIA 1937 R.
CENA 40 GROSZY

PRZEBUDZENIE

ITALA BIRRELLI

Kalendarzyk, AS'a

Czem się ludzie interesują w tym miesiącu?

Zaczynamy w obecnym numerze druk kalendarzyka, który ukazywać się będzie co miesiąc. Zamieszczając go będziemy w pierwszym tygodniu danego miesiąca. Kalendarzyk nasz to przegląd zainteresowań osób wszelkich zawodów, zarówno ludzi miasta, jak i ludzi wsi.

Rozpoczął się wrzesień — przyjrzyjmy się, co będzie nas najbardziej interesować w tym miesiącu:

1. ZACZYNA SIĘ SZKOŁA. Dzieci wracają z wakacji. Uczniowie robią zakłady, jak ortografia będzie obowiązywać w bieżącym roku szkolnym. Rodzice wstrzymują się jeszcze z zakupieniem tabliczki mnożenia, gdyż niewiadomo, czy nie będzie zreformowana. Władze szkolne zastanawiają się nad nowym programem nauki. W końcu okazuje się, że na zastanawianie się niema czasu i przyjmuje się program bez zastanowienia. Profesor historii zastanawia się głęboko przed pierwszym wykładem, czy myszy zjadły Papiela, czy Popiel zjadł myszy i jak to oświetla nowy program szkolny. Uczennice przeglądają pisma filmowe, aby dowiedzieć się czegoś nowego i naprawdę interesującego z historii. Uczniowie marzą o minionej swobodzie wakacyjnej.

2. LUDZIE TŁOCZĄ SIĘ W KAWIARNIACH. Następuje masowy ruch ludności z wsi do miast. Panie w kawiarniach opowiadają o kuracjach głodówkowych, które nie miały charakteru politycznego. Mimo to — też dużo stracili. Ludzie przyglądają się nawzajem i mówią: „Ach, jaki pan opalony“. Pod wpływem tych słów wiele osób dostaje ataków nerwowych. Ludzie chodzą do kawiarni, gdyż wolą miejski ozon, niż górskie powietrze. Ten i ów marzy jeszcze o pobytku na tonie natury. Rozglądając się jednak po kawiarni, zdaje mu się chwilami, że jest nad morzem — tu też pełno bałwanów.

3. LUDZIE OTRZYMUJĄ STOSY NAKAZÓW PŁATNICZYCH. Istny deszcz weksli. Masy rachunków. Zdaje się nam, że całe życie gospodarze kraju obraca się koło naszej skromnej osoby. Przez chwilę obejmuje nas roztkliwienie na widok tej całej poczty. A jednak o nas nie zapominają... Urzędnicy skarbowi pamiętają o nas przez całe dziesięć lat. Mają świetną pamięć. Wzrusza nas list od osoby, którą uwielbialiśmy przed dziesięć laty. List zaczyna się od słów: „Proszę o wyrównanie długu...“. Poczciwa! Przez tyle lat pamiętała o nas...

4. WSZYSCY ZABIERAJĄ SIĘ DO PRACY. Na wsi wyprowadza się woły na orkę. W miastach żony każą mężom wcześniej wstawać i iść do biura. Wszędzie po okresie letniego rozleniwienia tempo pracy jest jeszcze bardzo powolne. Rolnicy patrzą na ziemię i zastanawiają się, czy co będzie z tej orki. Żony patrzą na mężów i dochodzą do wniosku, że z nich już nie będzie.

5. ZACZYNA SIĘ WINOBRANIE. Obchodzimy święto winobrania, które u nas w kraju jest bardzo skromne. Święto „spirytusowo-brania“ byłoby o wiele huczniejsze i powszechniejsze. Zrywa się z drzew owoce. Panowie mają teraz sposobność przypomnienia paniom, że przez ich prababkę zostali wypędzeni z rajy i muszą ciężko pracować na kostjumi i futra, zamiast na małe listki figowe.

Pozatem we wrześniu rozpoczyna się okres wypoczynku. Wypoczywa się po trudach wakacji. Gwiazdy filmowe wracają z podróży poślubnych i wyjeżdżają w podróże wypoczynkowe. Ludzie zawiązują sobie supełki na chusteczkach, aby nie zapomnieć o zapłaceniu prenumeraty „Asa“.

Adcalendasgreacas.

CHARLIE

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER” S. A.
 REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
 KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
 KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
 ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
 KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
 PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



CENA NUMERU GROSZY 40

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamy 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 36

Niedziela 5 września 1937

Rok III

ASY NUMERU 36-GO:

KALENDARZYK „ASA”.

Czem się ludzie interesują w tym miesiącu? Str. 2.



POLOWANIE NA KOZIOROZCA.
 Wyprawa myśliwska w góry Kaukazu dostarczyła uczestnikom nie tylko emocyj łowieckich, — ale i wrażeń czysto turystycznych. Str. 4—5.



PORTRETY IMAGINACYJNE POPULARNYCH KOBIET W POLSCE.

Jak w krzywym zwierciadle fantazji zmieniają się oblicza znanych szerokiemu ogółowi osób. Str. 6.



KRÓLEWSCY FALSZERZE.

Od czasów Mieszka III. aż po Fryderyka Wielkiego nieraz monarchowie europejscy uciekali się do fałszowania monet, celem ratowania skarbu państwa! Str. 7.



TAM, GDZIE ZACHÓD STYKA SIĘ ZE WSCHODEM...

Wrażenia turysty, który przemierzył Wielką Rumunję, począwszy od Czerniowiec aż po morze Czarne. Str. 14—15.



SCENY — SCENKI I ESTRADY A LA MINUTE!

Życie artystyczne podpatrzone w świetle kinkietów przez fotomamatora. Str. 16—17.



Artyści na cenzurowanem.

ZBIGNIEW RAKOWIECKI.

Jak utalentowany artysta stał się ulubieńcem warszawskiej publiczności. Str. 18.



NA POLSKIEJ RIWIERZE.

Doł na Dniestru, tonąc nawet jesienią w powodzi gorącego słońca, ściąga do siebie liczne rzesze kuracjuszy. Str. 19.



Z teki muzycznej „Asa”:

ŚPIWKI Z ORAWY

w opracowaniu prof. dr. Zdzisława Jachimeckiego. Str. 22.



Dwie nowele. — Życie towarzyskie i artystyczne. — Moda męska. — Kącik filatelistyczny. — Dział gospodarstwa domowego. — Moda kobieca. — Poranna gimnastyka. — Na scenie. — Nowe książki. — Program radiowy.



Fot. REO.

Do najbardziej lubianych gwiazdorów filmowych należy bezwątpienia Charles Farrell, którego widzimy na zdjęciu w jego nowej posiadłości w Toluca Lake w Kalifornii. Artyście towarzyszą jego dwa ulubione psy.

POLOWANIE



W wiosce — u podnóża „Chino Tau“...



Tylko kobiety nie wyruszają na wyprawę myśliwską...



Czerkies Nikko jest praktykującym mahometaninem...

Z polowania na wilki w Himalajach, z pełnych przygód łowów na tygrysy w groźnych febrach dziewiczych lasach w Bengalji i z kunsztownych polowań na dzikie słonie na terenach hinduskich potentatów, przybyliśmy do dzikiego świata Kaukazu, między niemal nietkniętą stopą ludzką olbrzymi górskie, z wznoszącym się ponad 5.000 metrów Kasbekiem i jego dziko zabębionym „młodszym bratem“ Czi-no Tau. Znowu otoczyło nas w czerkieskich wsiach odmienne pod względem formy życie, znowu zwała nas w góry rzadka zwierzyna. Tym razem obiecywaliśmy sobie, że naszym łupem stanie się niedźwiedź kaukaski.

Małemu oddziałowi myśliwych brakowało po długiej i pełnej przygód podróży odpowiednich rekwizytów łowieckich do ołowienia na niedźwiedzie, wobec czego wyruszenie w góry musiało ulec odroczeniu na kilka dni. Czy kiedykolwiek mógłbym znaleźć upodobanie w bezczynnym przebywaniu w dolinie, wiedząc, że tam w górze, w pustych, dzikich rozpadlinach, czeka na mnie najszlachetniejsza zwierzyna? A w dodatku młody Czerkies Nikka opowiadał tyle interesujących szczegółów o wyprawach łowieckich na koziorożca. Bez trudu namówiłem go na wędrowkę w góry. Na kilka dni po zostawieniu małego obozu naszych towarzyszy we wiosce w dolinie pod opieką przyjaciela, a sam z Nikkiem wyruszyłem w trop za królem skalnych rubieży.

Zamiaszt ciężkiego wysokogórskiego obuwia, obitego gwoździ, do którego przywykłem, wdziałem za przykładem Nikka krajowe obuwie Inguszów ze surowej skóry, wyplatane i wyscielone sianem. Niestety mój sztucer był uszkodzony odłamkiem skały, zrzuconym na mnie niedawno przez niedźwiedzia w złym humorze i dlatego musiałem się uzbroić w niezgrabną i ciężką, lecz



Nareszcie pierwszy upolowany koziorożec...

Gdy nazajutrz wczesnym rankiem dostrzegliśmy z oddali pierwsze stado koziorożców, musiałem, mając na względzie moje uzbrojenie łowieckie, podejść jak najbliżej, co w tej „dzikiej, romantycznej, okolicy górskiej“ równało się niebezpiecznej alpejskiej wyprawie. Przeszliśmy po niemal prostopadłej skale, za którą ukrywało się stado, lecz przez dłuższy czas nie mogliśmy go dostrzec. Wreszcie ukazały się znowu, lecz w takim oddaleniu wśród masywu skał, że strzelanie z mej strzelby było niemożliwe. Nawet oko nie mogłoby podjąć temu zadaniu.

Rozpoczęła się znowu utrudniająca spinachka. Przez szeroką rozpadlinę górską przedzierał się ze świstem zimny wiatr i przeciekał strumyk, który musieliśmy przeskakiwać po chwiejnych kamieniach. Ze stru-

mykiem rozpoczynało się znowu przepaściste, prostopadłe niemal zbocze skalne. Spinaliśmy się wytrwale w górę....

Po kilku zakrętach stado wyłoniło się ponownie. Niemal na skraju lodowca, na tle wznoszących się białych szczytów, zawisło na mchem obrosłym skrawku górskim — obraz przedziwnie romantyczny, o niezapomnianym uroku. Zwolna, oszołomiony pięknym widokiem, skradałem się w bok, szukając dogodnych miejsc. Nagle upadłem, wydając okrzyk bólu. Podczas wspinania się



W obozie suszy się mięso upolowanej zwierzyny...

po skałach i lodowcach nie zauważyłem, że siano w lewym sandale przesunęło się i wielki palec był narażony na raniące uderzenia. Wpatrzony w koziorożca, nie dostrzegłem ostrego kamienia, który wskutek nieopatrzego kroku rozdarł mi nogę do krwi.

Mój okrzyk spłoszył stado, co skonstatowałem z żalem, patrząc przez szczelinę w miejsce, na którym przedtem było ono widoczne. Cały nasz dotychczasowy trud okazał się daremny. Klęliśmy co się zowie, schodząc z góry. Z uwagi na zranioną nogę musiałem zdać się na pomoc Nikka. Droga trwała około 6 godzin, które upłynęły zanim znalazłem się we wsi na postaniu. Nigdy nie uwierzyłbym, że tak mała stosunkowo rana może sprawić tyle bólesci i kłopotu. Noga spuchła i obwiałem się, że grozi mi zaka-

NA KOZIOROŻCA



Od lewej: W czasie wyprawy niejedną noc trzeba spędzić przy ognisku... — Inarko wypatruje koziorożca przy pomocy starożytnej lunety... — Wyprawą dotarła do lodowców Kasbeku...

Wszystkie zdjęcia fot. C. Anders — Paryż.

zenie krwi. Na szczęście po kilku dniach cierpienie wszystko skończyło się dobrze. Nikko poszedł po mojego starego strzelca Inarko do obozu. Ten był szczerze zmartwiony i przekonany, że nie byłbym się naraził na tyle bólu i kłopotów, gdybym się wybrał w jego towarzystwie.

— *Aj, panie, panie, pocóż było chodzić tak wysoko bezemnie! Teraz poleżysz panoczku długo, zanim wyruszymy znowu!*

Leżąc na pościeli, podziwiałem przez okno uroczy widok gór. W uszach dzwiała mi prześlizgnięta „Suita Kaukazka” Rimskij-Korsakowa. Taki krajobraz mógł genialnemu kompozytorowi dostarczyć tematu do jego wspaniałego utworu. A tymczasem Inarko wyplatał, siedząc na drewnianej ławeczce koło mojego łóżka, nowe sandały górskie, wkładając w swoją czynność dużo systematycznej i troskliwej staranności. Gdyby ten stary wiedział, jak równocześnie denerwował mnie swoją flegmatyczną powolnością! Czas włócił się, a urozmaicał go jedynie Inarko opowiadaniem awanturnych historii myśliwskich z życia Inguszków.

Po ośmiu dniach przymusawego wycieczki wyruszyliśmy znowu w trop za ko-

ziorożcem. A ilekroć spotykałem gromady dziko wyglądających Inguszków, których widok mógł przyprawić najodważniejszego o trwogę, przypominałem sobie dobre, poczęte serca, kryjące się za ich kożuchami. Jeszcze niejedną raz miałem przekonać się o ich wiernej przyjaźni.

Podczas tej drugiej wyprawy nowe sandały oddawały mi znakomite usługi. Nikko i Inarko kroczyli przedemną jako straż prze-

przezuwający nawet, że grozi im niebezpieczeństwo. Skradaliśmy się, unikając najmniejszego szmeru. Pokonaliśmy przeszkody w postaci niedostępnych kominów górskich i wreszcie z zapartym z emocji oddechem, zbliżyliśmy się do stada. Mogłem widzieć jak na dłoni, jak dumny i baczny na każde niebezpieczeństwo kozioł, wódz gromady, wspaniały okaz unosił co chwilę ukoronowaną rozgałęzionymi rogami głowę, trwając potem w wyczekującym bezruchu. Lecz nie nie wywoływało jego nieufności.

Skradając się, wpatrzyłem w stado, podeszliśmy bliżej na odległość strzału. Jeszcze tylko jedna rozpadlina, a koziorożce staną się naszym łupem. Nagle — kamień poruszony szybkimi krokami oderwał się od skały i runął z hukiem w przepaść. Grzmące głucho echo spłoszyło stado, do którego podejście okupione było takim trudem i napięciem nerwów! Nie zważając na niebezpieczeństwo, skoczyłem w stronę umykającego stada i strzeliłem. Młode kozło, nie tak zaradne jak starsze, doświadczone, padło trafione z odległości niespełna 40 metrów.

Przyznam się, że byłem rozczarowany. Miałem chrapkę na starego kozła, wodza wyprawy. Jakieżby to było wspaniałe trofeum myśliwskie! Ale cóż robić. Stado wraz z wódem zniknęło jak fata morgana.

— *Panie — pocieszał mnie Nikko — to i lepiej, bo nikt z nas nie ugryzłby mięsa takiego starego kozła! A pieczeń z młodego kozła będzie pyszna i przyda się każdemu z nas. Zaraz zrobimy dobry szaszłyk.*

Nikko miał rację. Na zaimprovizowanym rożnie upiekł kozła, które okazało się największym smakołykiem, jaki kiedykolwiek jadłem. Przyrządził pieczeń w ten sposób, że pokrajał mięso w plastry i umieścił każdy między dwa skrawki tłuszczu z kozłowego ogona. Ja tymczasem postarałem się o trunek. Zaostrzonym kijem odtupałem kilka bryłek kryształowego lodu, który stopiliśmy na ognisku. Inarko, przezorny i doświadczony, zaopatrzył się w zapałki, dzięki czemu mogliśmy zapalić ognisko, przy którym upiekliśmy kozła i zagraliśmy się po uciążliwej przeprawie. Nie brakło nawet doskonałego wina kaukaskiego, którym chciałem poczęstować moich towarzyszy. Odmówili jednak, patrząc na mnie z wyrzutem. Zapomniałem, że są muzułmanami i że wierni tradycji ojców, nie piją napojów alkoholowych. Zadowolnili się wodą z lodowca. Byłem im w duchu wdzięczny za ich wstrzeźliwość. Manierka czerwonego wina do potężnego płatu kozłej pieczeni, to bądź co bądź niezbyt dużo po tak utrudzającej wyprawie myśliwskiej!

K. H. Heiland-Tetting.



W drodze na szczyt Kasbeku mija się olbrzymią siklawę...

Poniżej: Wspaniałe rogi stanowią piękną ozdobę domostwa myśliwego...



dnia, przypatrując się bacznie drodze, aby znowu nie zasłała przeszkoda wskutek zranienia nogi jakimś zdradzieckim kamieniem. Wierzyłem, że tym razem moja berdanka napewno nie zawiedzie.

Stojąc na zlodowaciałym szczycie skały, podziwiałem znowu wspaniałe widoki, jakie znają tylko myśliwi i wędrowcy w wysokich górach. Oczarowany niemal do zapomnienia, byłbym może poślizgnął się znowu i upadł w przepaść, gdy nagle ujrzałem na tle przeciwległej skały ciemne punkty, które ściągnęły na siebie moją myśliwską uwagę.

Równocześnie szepnął Nikko:

— *Panie, uwaga, koziorożce!*

Tak, to byli zwinni, pełni niewysłowionej gracji mieszkańcy górskich rozpadlin, nie-

PORTRETY + IMAGINACYJNE POPULARNYCH Kobiet + W POLSCE

Jest wierutnym kłamstwem, że aktorzy i aktorki Hollywoodu mają swoje „double”, swoje sobowtóry! To znaczy, że jest to o tyle kłamstwem, że nie tylko oni i one „dedublują” się na ekranie. Każdy z nas jest w tym położeniu! Niema bowiem człowieka, któryby był naprawdę sobą. Imaginacyjne jego podobizny obiegają świat, a im bardziej jest znany, tem więcej tych odbitek, mniej lub więcej do niego podobnych. Każdy człowiek odbija się nie tylko w kartach (o ile ma oczywiście szczęście i randka mu się nie udała), ile w umyśle i oczach swych „bliznich”, którzy mogą zresztą być nawet bardzo dalecy, o ile chodzi o czytelników. Czytają poprostu nasz feljton, naszą humoreskę, naszą sztukę sceniczną, czy nasz wiersz i wedle słów tego utworu układają sobie nasz obraz. Ile par oczu, ile głów, uczesanych w przedziałek, fryzurę à la garçonne, à la Marina, czy à la coś innego, tyle naszych obrazów. Znam np. pewnego pana,

którego uważałem zawsze za starszego człowieka, który zna dobrze życie, tylko dlatego, że podpisywał się Stary Koń i pisał humoreski. Okazało się, że jest to niemowlę, które już w pieluszkach robiło dwuznaczne dowcipy, o tyle zresztą dwuznaczne, że tłumaczono je na różne sposoby, nie mogąc dotrzeć do tak zwanego sedna. Przypomina mi to pewną scenę z kapitalnej komedji de Flersa „Le bois sacré”, w którym do prezesa Akademji zgłasza się pewna literatka, chcąc uzyskać poparcie prezesa przed przyznaniem nagrody literackiej i przez służącego posyła mu bilet wizytowy. Prezes czuły na kobiece wdzięki kryguje się przed lustrem, chcąc godnie przyjąć młodą (zapewne) literatkę i zrobić na niej piorunujące wrażenie. Po chwili do gabinetu wchodzi siwowłosa

staruszek. Pomyłka przysła i przysł też urok nazwiska! I my czytelnicy, ulegamy takim złudzeniom. Sądząc po pewnych tematach, obrabianych przez autorów, po ich predylekcjach po tem co o nich czytamy, wyobrażamy sobie ich inaczej, jakimi są naprawdę. Gdybyśmy nie znali z fotografii p. prezesa PAL'u, Sieroszewskiego, wyobrażalibyśmy sobie, że jest to staruszek o siwej jak św. Mikołaj brodzie, o chabrowych (o ile możliwości) oczach, rumianych policzkach, a tymczasem jest to młody człowiek, nawet bardzo młody, skoro tak niedawno jeszcze miał niańkę i piszący swe bajki nie jako literat, ale jako nieomal rówieśnik swych przyszłych czytelników. Zresztą czego się nie robi dla młodzieży!

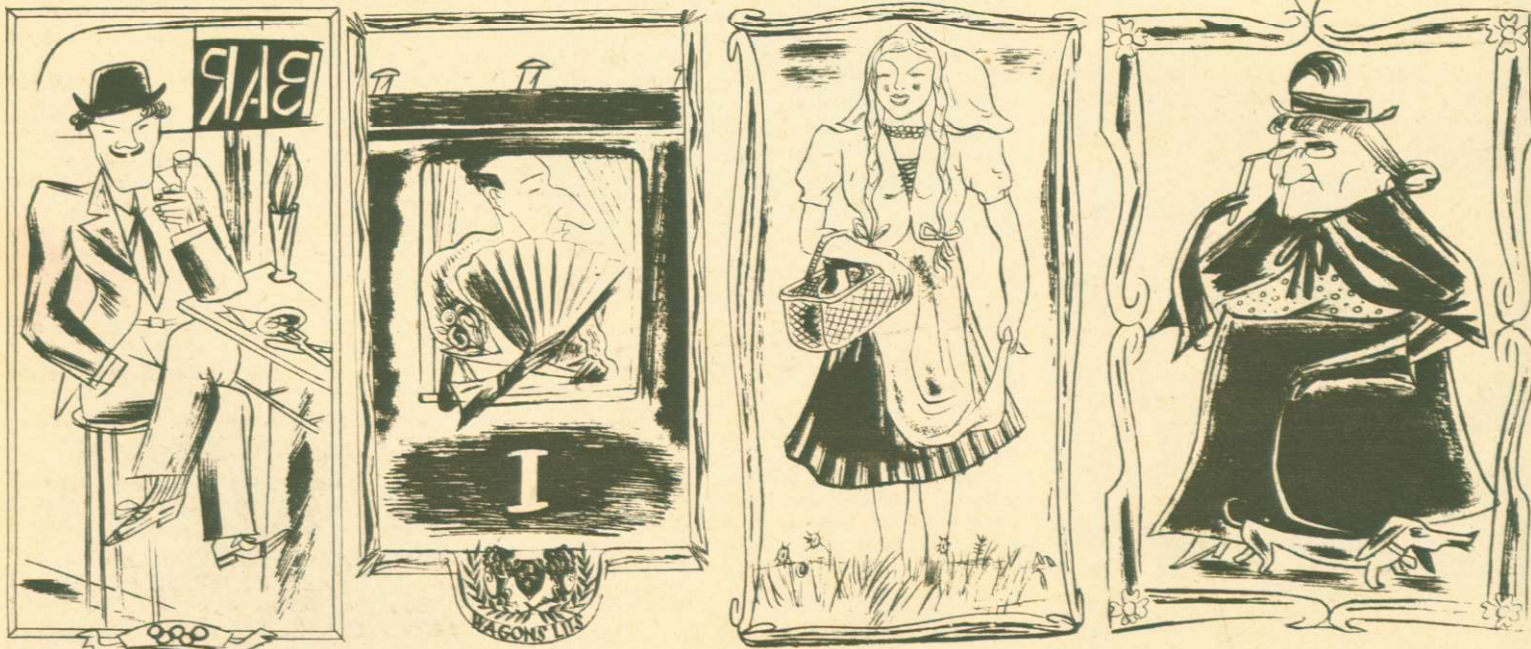
Albo czytając o licznych podróżach politycznych p. Beckowej mniemalibyśmy, że jest to poważna matrona, która „zęby zjadła” na polityce, gdy tymczasem jest to młoda, uroczą kobietą, zdobywająca serca ludzkie nie

dyplomacją, a swym ezarem. Podobnie rzecz się przedstawia z panią Magdaleną Samozwaniec. Jeżeli ktoś pisze o brydżu, i o grzechu i o wielu innych takich rzeczach, stanowiących rekwizyt starej ciotki, sam musi być cherlawą, złośliwą sarszą panią, siedzącą na kanapie i mającą wszystko wszystkim za złe. A tymczasem jest przeciwnie! Własiewiczównę również wyobraża sobie mój przyjaciel zupełnie fałszywie! W oczach jego to młody, energiczny mężczyzna, pijący chętnie wódeczkę z kropką, z wąsikiem, w meloniku, w typie amerykańskiego businessmana. A tymczasem! Zresztą co będzie dłużej opowiadał, wszyscy państwo znacie Własiewiczównę, przynajmniej taką, jaką się przedstawia w chwili obecnej. Gdy zarządnie nią Smętek, może się zmienić... Tymczasem jest jeszcze taką, jaką była tydzień temu, tak mnie przynajmniej zapewnił nasz korespondent.

Dobrze; mówiliśmy o naszym obrazie w oczach innych. A gdybyśmy powiedzieli coś o naszym obrazie w naszych własnych oczach? Czyż nie zasłzyby pewne zmiany, pewne odchylenia od prawdy? Stary zręda niemiecki Schopenhauer podzielił wartości życiowe człowieka na trzy kategorie, zależnie od tego, co on posiada, jakim jest naprawdę, lub jakim się wydaje. W XVIII wieku istniał zwyczaj spisywania swych własnych „portretów”, tj. opisanie swej osoby z najbardziej obiektywnego punktu widzenia. Temu to zwyczajowi zawdzięczamy m. in. obraz spisany przez twórcę genialnych aforyzmów, księcia Franciszka de la Rochefoucauld. Jakże odbiegają one od tego, co o tych postaciach powiedzieli współcześni w swych pamiętnikach, które wyjrzały na światło dzienne wiele lat po ich śmierci!

Więc nie tylko gwiazdy Hollywoodu mają swoje double! I my je mamy. Każdy z nas dwój i troj się przed oczami współczesnych, choćby byli najbardziej trzeźwi. I to właśnie stanowi o uroku życia: jest ono płynne, pojęcia i poglądy przypominają opał, który zależnie od oświetlenia zmienia ciągle barwę. Nie będąc więc nawet kameleonem, stajemy się nim w oczach otoczenia.

Jan Maleszewski.



Od lewej: Własiewiczówna widziana oczami niektórych entuzjastów sportu. — P. Beckowa dziwnie przypomina rysami twarzy swego małżonka. — Oto „synteza” Jadwigi Smosarskiej, hożej odtwórczyni ról panienek z dworu. — Magdalena Samozwaniec w fantazji czytelników jej książek.

WSZYSTKIE RYSUNKI MIECZYSLAWA PIOTROWSKIEGO — WARSZAWA.



Denary krzyżkowe z srebra z czasów Mieszka II. (1025 - 1034)

Podstawą wszelkiego ustroju państwowego jest skarb i wojsko, bez których to czynników wszelki rozwój oraz obrona kraju byłaby nie do pomyślenia. Długi czas trwało, zanim pieniądź, jako moneta obiegowa zyskał na świecie swe stanowisko a zamieszanie potęgowały często sposoby, do których już w wiekach średnich uciekali się władcy państw zachodnich na wypadek wojny, lub też z prostej chęci zysku.

Mennice były prywatną własnością króla czy też księcia, który według swej woli wydzierżawiał ją, ciągnąc z bicia monety dla siebie duże dochody. Skarby królewskie wymagały ciągłego nowego zasilenia, a to z powodu często toczonych wojen, wśród których wytwarzały i krystalizowały się organizacje państwowe.

Władcy niemieccy i czescy stosowali począwszy od w. XII przez cały wiek XIII, w razie potrzeby systematyczne obniżanie stopy procentowej monety. Raz po raz na ich polecenie ujmowano zawartość srebra na rzecz miedzi i innych nieszlachetnych metali. Kilka razy do roku wypuszczano coraz to nową monetę, na czym najlepiej wychodził sam król czy książę, oraz dzierżawcy mennicy, spełniający zarazem funkcję urzędników. Zamiana monety bowiem odbywała się na placach miejskich w dni targowe, gdzie za stołami zasiadali mincerze, w imieniu króla wymieniając monetę starą na nową, płacąc przy tem np. za trzy sztuki pieniędzy tylko dwie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że oprócz tej straty nie wszyscy mogli na czas monetę wymienić, a wszystkie świadczenia musiały być płacone pieniędzmi nowymi, to zdamy sobie sprawę, że sposób ten pociągał za sobą duże dla władcy zyski, sprowadzając równocześnie na kraj i poddanych jego zupełne niejednokrotnie zubożenie, a co za tem idzie upadek gospodarczy.

„Modę“ finansowego niszczenia swych przeciwników w osobach możnowładztwa, stosował u siebie w Wielkopolsce Mieszko III Stary, u którego widoczne są bardzo silne wpływy wspomnianych już władców Niemiec i Czech, ujawniające się w tym samym sposobie pogarszania monety i wybijania t. zw. cienkich denarów, piąteczek tak cienkich i liwych, że wycisk stempla był wypukły tylko po jednej stronie, na drugiej zaś pozostawała wklęsłość. Stąd też pochodzi owa ogromna ilość t. zw. brakteatów, czyli liwych cienkich monetek, których bicie przypada najczęściej na czasy wspomnianego Mieszka III, oraz innych współczesnych mu z końcem XII i początkiem XIII w. książąt dzielnicowych, których owa polityka Mieszka III zmogła, pozostając dla niego jednym najlepszym środkiem, umożliwiającym mu zdobycie i utrwalenie naczelnej władzy księcia krakowskiego.



Grosze praskie z czasów Waclawa II. znalezione w Rybinie.

KORONOWANI FAŁSZERZE

Po pewnym okresie czasu, bo w wieku XV i XVI pojawia się znów zwyczaj fałszowania talarów w Niemczech, z czego słynęli władcy poszczególnych księstw a wśród nich książęta brunszwiccy z rodziny Welettinów.

Nie będą wolne od podobnych objawów czasy nowsze, gdy Fryderyk II pruski, chcąc uzyskać dla swego państwa nowe korzyści ze zdobycia Śląska na Austrii rozpoczął wojny Śląskie. Ofiarą jego poczynań w kierunku połkrycia zapotrzebowania na ogromne sumy pieniędzy stała się nieszczęsna pod rządami Augusta III Rzeczpospolita, uginająca się pod ciężarem rekwizycyj i nadużyć, jakich przemaszerały przez nią wojska pruskie się dopuszczały. Największą klęską było zalewanie jej przez Fryderyka II fałszywą monetą.

W r. 1754 rozpoczął król akcję fałszowania monety, wydzierżawiając swe mennice we Wrocławiu, Królewcu i Szczecinie, polecając i zezwalając na obniżanie wartości bitych tam pieniędzy polskich. Zajęcie przez Prusy Saksonji w czasie trzeciej wojny śląskiej t. zw. siedmioletniej w r. 1756, a wraz z nią Lipska i znajdującej się tam mennicy polskiej (w której bito pieniądze złote i srebrne), spowodowało wzmocnienie akcji fałszowania monety polskiej.

Na czele mennicy stanął sprowadzony przez Fryderyka II z Berlina niejaki Efraim i z momentem tym rozpoczęła się w sposób w dziejach niesłychany i bezwstydnym następujące formalnie z dnia na dzień, pogarszanie monety. Zamiast 14 talarów z grzywiny czystego srebra bito po 19—24 w r. 1776, a w latach następnych 30—40. Dla niepoznania umieszczano na nich „bez żeńady“ wizerunki i cyfry Augusta III i Fryderyka II, używając starych stempli, bo dopiero w r. 1761 i 62 zmieniano na nowe stemple z r. 1753. Najwięcej nadużyć dopuszczano się przy biciu monet złotych t. zw. augustdorów, w których zamiast 23 i pół karatów dawano tylko 7 karatów złota. Oprócz monet koronnych fałszowano także pieniądze sasko-polskie z lat 1757—62, więc grosze, dwugrosze, talary i dukaty, na których pod herbami Augusta III kazał Fryderyk umieszczać swój monogram. Wszystkie te fałszowane pieniądze noszą od imienia owego dzierżawcy nazwę „efraimów“, a kursując po kraju powodowały wraz

z chaosem monetarnym niesłychane szkody. Kres temu położył pokój podpisany z Prusami w r. 1763.

Jest rzeczą godną uwagi, że gdy Napoleon w r. 1809 po pokonaniu Austrii znalazł się w Schöbrunnie zagroził generał-adjutantowi hr. Bubna: „Kazałem we Francji zrobić 200 milionów banknotów, które puszczyć w obieg i jeżeli tylko rozpocznie się znowu wojna za rządę na nowo tutaj ich fabrykację“. Wielki Napoleon nie gardził więc również tymi samymi sposobami jakimi posługiwał się Fryderyk, z tą różnicą, że fabrykacja pieniędzy austriackich odbywała się w najściślejszej tajemnicy. Owa potajemna prasa w Paryżu rozpoczęła swą działalność widocznie znowu w r. 1813, świadczy o tem bowiem list cesarza wysłany z Paryża do pasierba jego Eugenjusza Beauharnais, walczącego wtedy w górnych Włoszech przeciw Austrii: „Otrzyma Pan paczkę, zawierającą milion papierowych pieniędzy wiedeńskich. Proszę zrobić z nich odpowiedni użytek“.

Gdy później Beauharnais jako zięć króla bawarskiego przeszedł na stronę związkowych, zwrócił uwagę hr. Stadiona na podejrzenie pochodzenia tych banknotów. Dochodzenia przeprowadzone w tym kierunku przez hr. Bombelles wykazały, że fałszowanie banknotów austriackich ustało z chwilą poślubienia przez Napoleona arcyksiężniczki Marji Luizy. W tym czasie rozpoczęto fabrykację rubli rosyjskich, a w dwa miesiące później pieniądze angielskich. Oprócz fałszowanych na nowo w r. 1813 banknotów austriackich, fałszowano też papiery pod nazwą „Papiers de coalition“, które jednakże w obieg nie zostały puszczone.

Prócz tego, że banknoty austriackie w r. 1809 opiewały przeważnie na 500 i 1000 guldenów i że sfabrykowano ich na sumę 40 milionów guldenów, nie wiadomo dokładnie ile z nich puszczone w obieg, ponieważ wszelkie książki i zapiski odnoszące się do tego zostały zniszczone.

W małym domku w Montrouge pracowało tylko w nocy i to w najściślejszej tajemnicy, ściągając podejrzenie prefekta policji nazwiskiem Pasquier, nie mającego pojęcia czyja to „fabryka“. W poszukiwaniu zwyczajnych fałszerzy byłby pewnej nocy „nakrył“ owo całe przedsiębiorstwo, gdyby nie szepnięte na czas ostrzeżenie księcia Rovigo, który poinformował go dopiero o istotnym stanie rzeczy, zażegnując w ten sposób wybuch niebываłego skandalu.

Mgr Anna Niehthausen.



WZOROWO PROWADZONA ZAWODOWA SZKOŁA KOSMETYCZNA MARY MAYER

w Warszawie w dniu 5-go września rozpoczyna kurs teorii i praktyki kosmetycznej. Czas trwania kursu cztery miesiące. Wykładają wybitne siły naukowe i fachowe. Ukończenie kursu uprawnia do samodzielnej praktyki i otwarcia własnego gabinetu kosmetycznego.

Informacyj udziela i zapisy przyjmuje

KANCELARJA SZKOŁY, WARSZAWA, KRÓLEWSKA 2 m. 55

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Po powrocie z urlopu pierwsze swe kroki kieruje filatelista do sklepu po nowy katalog. W tym roku nowe wydanie Michla na rok 1938 jest do prawdy źródłem prawdziwych sensacji zwłaszcza jeśli chodzi o ceny!

W pierwszym rzędzie jednak należy podnieść dal-
sze ulepszenia, które w ślad za Michlem wprowadzą
zapewne i inne wydawnictwa. Otóż znaczki t. zw.
obiegowe niemieckie niestemplowane, nie są wyce-
niane. Jest to zupełnie słuszną inowacją, tylko, że
tak samo (znakiem trąbki pocztowej) powinno się
wyznaczać znaczki obiegowe wszystkich narodów bez
wyjątku, gdyż ceny „rabatowe“ nie są dla nich zu-
pełnie mjarodajne. Tutaj nawet należałoby doliczać
do wartości nominalnej znaczków takich państw
jak Luxemburg, Monaco, San Marino, Liechtenstein,
co najmniej 100%, gdyż nie sposób je dzisiaj dostać
natychmiast po wydaniu.

Objętość katalogu europejskiego powiększyła się
z 898 na 948 stron, przyczem odrębna kartka 931 zo-
stała poświęcona „blokom“. Pod tym względem za-
panował istny szal, a ceną np. Luxemburga no. 142
ustanowiła rekord skoku w wyż z 225'— na 800'—.
Czy rzeczywiście ceny te są osiągalne, to inne pyta-
nie, np. wątpić należy, czy na polski blok „Warsza-
wa 1928“ notowany 100'— (w 1937 18'—), znajdują się
nabywcy, którzyby chcieli płacić od 30 do 50 złotych.
Niemniej jednak wszystkie błoki znikły z „horyzon-
tu“ i radzimy wszystkim raczej wyeliminować je ze
swego programu zbierania. Naturalnie z wyjątkiem
tych filatelistów, którzy mają ochotę zapłacić za blok
„Vaduz“ 200 złotych gotówką itp.

Na nowe bloki czeka natomiast wszyscy i gro-
madzą potrzebne kapitały. Francuski „Pexip“ z miej-
sca kosztuje 50 Michla M., ale jak spodziewaliśmy się,
nie dogonił jeszcze Ostropy (75'—). Co będzie z pol-
skimi blokami? — pytają się także wszyscy za-
niepokojeni miłaniem M. P. i T. zbieracze.

Otóż według najnowszej wersji nakład ma być pod-
wyższony do 400 tysięcy, czyli że razem poczta spo-
dziewa się zainkasować przeszło 2 miliony. Gratulu-
jemy, tylko oby niesprzedanych bloków nie zaopatry-
wano później innymi przedrukami, jak to miało miej-
sce z „Hitlerblokiem“. Przy okazji wypadła wspom-
nieć, że swego czasu Niemcy zapowiedzieli, że rok
rocznie będzie się ukazywał jeden „Hitlerblock“. —
Obietnica ta została jednak z miejsca przekroczona
w czwórnasób, bo prócz zwykłego bloku, ciętego,
i z nadrukiem „Kulturspende“, zapowiadamy wszem
wobec i każdemu zbieraczowi z osobna, aby z wczasu
postarał się o czwarty „Hitlerblock“ z pionowemi
przedrukami na znaczkach: „Reichsparteitag Nürn-
berg 1937“.

Dla większego urozmaicenia powinien on być wy-
dany jeszcze cięty, a prócz tego także w formie koła
i owalu, bo podobnej formy nie przewidują narazie
nasze albumy

Zastanówmy się teraz poważnie, czego dowodzi ta
fantastyczna zupełnie zwyżka, która objęła zresztą

wszystkie absolutnie lepsze znaczki. Dochodzi ona nie
jednokrotnie do 500%, a z mikroskopem chyba na-
leży szukać tych znaczków powyżej 10'—, które za-
chowały tylko swą dawną wartość. Filatelistyka znaj-
duje się obecnie w swem apogeum i można się tylko
pytać, czy liczba zbieraczy dalej wzrastać będzie
w tem tempie. Pewnie że astronomiczne ceny odstra-
szają nawet bogaczy od zbierania wszystkich krajów
i każdy zacieśnia krąg swego zainteresowania do
państw ościennych. Wytwarza się tem samem błędne
koło, gdyż kapitał przeznaczony dawniej na wiele
egzemplarzy, bywa teraz gromadzony, celem zdobycia
kilku tylko białych kruków (czytaj bloków), które
z dnia na dzień stają się coraz bardziej niedostępne.

Niemcy, Austria, Malta, Finlandja, Francja, Bul-
garia, a przede wszystkim Belgja zwyżkowały naj-
bardziej, Holandja nieznaćnie, „Poczta Polska“ osią-
gnęła już prawie należyty poziom, natomiast z rado-
ścią powitać należy załamanie się cen znaczków so-
wieckich i wyeliminowanie licznych reprodukcji ty-
powo spekulatywnych wydań. — Tannu-Tuwa, kraj
istniejący tylko w legendzie i na znaczkach pocztow-
wych utrzymał się wprawdzie jeszcze i w katalogu,
ale z pełną satysfakcją czytamy napis tłustym dru-
kiem: „Pocztowa emisja tych znaczków nasuwa po-
ważne zastrzeżenia“. Nawet „zamorszczyzna“ ruszyła
trochę z miejsca, na którym zasiedziała się od wielu
lat. Większe zmiany rejestrujemy oczywiście w U.S.A.
i to zwłaszcza przy wydaniach jubileuszowych.

Aby uniknąć jakiegokolwiek podejrzenia po tyłu po-
chwałach, wyrażonych w stronę Michla, który zresztą
i bez tego opanował nasz rynek, musimy mu zarzucić
przede wszystkim, że jeśli chodzi o warunki wymiany
fortytuje on zbyt wyraźnie Niemcy. Jest zupełnie wy-
kluczonym, aby polski wydawca odważył się w bli-
skiej przyszłości na emisję katalogu choćby Europy
w naszym języku, — w każdym jednak razie należy
opierać się tylko na tych katalogach, które fachowo
oceniają wartość polskich znaczków, a nie tak, jak
Yvert, który nie ostrzega przed fałszerstwami.

Bardzo miżerny papier katalogu, nie włączenie
ostatnich nowości do samego tekstu, i jak zawsze,
malutkie reprodukcje to najslabsze strony pierwsze-
go cennika który ukazał się w sezonie 1937/8.

Ze zbioru mgr. Bałowskiego z Katowic reproduku-
jemy najnowsze znaczki Liechtensteinu. Przedsta-
wiają się one bardzo ładnie, gdyż rysunki o moty-
wach z rycerskiego średniowiecza wykonane są he-
liograturą dwukolorową: 10 rp. fioletowy na tle żół-
tem, 50 rp. brązowo żółty.

Format 10 rp. 25×40 mm, 50 rp. 41×28 mm, wy-
sokość nakładu nie jest nam znana, ale chociażby
znaczki te długo nawet były w obiegu, nie zaliczać
się będą nigdy do „śmieci“.

Z końcem czerwca wydał pozatem Liechtenstein se-
rję z 4 znaczków za 10, 20, 30 i 50 rp. na pamiątkę
wykonania różnych wielkich prac ziemnych, kanałów
Dokończenie na str. 18-ej





alter ego

ALEKSANDER JUNOSZA-OLSZAKOWSKI

NOWELA

Sprawa sądowa ajenta handlowego Williama Reeda zaprzętnęła na długi czas umysł wszystkich mieszkańców Paryża.

Jak zwykle tłum żądny sensacji rozpatrywał najdrobniejsze szczegóły, dotyczące się oskarżonego, atoli każdy musiał wzruszyć ramionami, stojąc wobec zagadki nie do rozstrzygnięcia. Był to tajemniczy rebus życiowy, nad którym bezowocnie wyteżały się najtęższe mózgi znakomitych prawników francuskich.

Popelniając zabójstwo, William Reed nie powodował się ani szalem, ani rozpaczą. Nie powodował się postanowieniem zimnem i niezłomem, bowiem postanowienia takiego nie miał wcale. Poprosto idąc ulicą zwyczajnym krokiem przechodnia, wyjął z kieszeni rewolwer, odwrócił się nagle i strzelił w samą twarz śpieszącego za nim pastora O'Brien, który upadł, zalewając się krwią.

Wszczął się tumult: William Reed, nie zdradzając najmniejszej chęci do ucieczki, stał pochylony nad trupem i przyglądał mu się ze zdziwieniem. Uczucie to tak szczerze malowało się na jego twarzy, że aresztujący go policjant omiemał ze zdumienia.

Zapytany w komisariacie, dlaczego to zrobił i co mu pastor zawinił, William Reed odpowiedział, że sam nie wie, jak to się stało i że pastora nigdy w życiu nie widział i nie znał.

Nasuwało się tedy przypuszczenie, że zaszła fatalna pomyłka, a mianowicie, że William Reed chciał zabić innego człowieka. Hipotezę tę, jak się wydawało na pierwszy rzut oka całkiem słuszną, obalił sam zabójca, twierdząc, że nigdy nie miał zamiaru pozbawiać życia żadnego człowieka.

Zabił — oto wszystko!

Ani krzyżowe pytania, ani wybiegi prokuratora nie zdołały zbić z tropu oskarżonego i zmusić go do wyjawienia prawdy. Reed uśmiechniętym wzrokiem patrzył w oczy sędziemu śledczemu i powtarzał wciąż swoje dziwaczne zeznania. Nie czuł żalu i skruchy, że zabił niewinnego człowieka, który osierocił żonę i kilkoro dzieci. Jeżeli zaś czasem sumienie poczynało go dręczyć, wnet zagłuszała je radość wielka, rozpierająca mu piersi. Z czego się tak cieszył ten człowiek — nie było nikomu wiadomem.

Drugi dzień śledztwa przyniósł nową niespodziankę, William Reed zeznał, że właściwie popełnił samobójstwo i jest szczęśliwy. Twierdzenie powyższe wzbudziło podejrzenie co do stanu poczytalności oskarżonego.

Z rąk sędziego śledczego Reed powędrował do kliniki psychiatrycznej pod obserwację, stamtąd zaś wrócił z adnotacją, że zachowuje się jak rekonwalescent po ciężkiej chorobie. Cieszy go słońce, bawią ludzkie twarze i rozmowy i w ogólności robi wrażenie człowieka normalnego, którego nagle coś wielce uradowało. To „coś“ jednak pozostało niezbadane i dla sędziego i dla psychiatrów.

Nie mogąc rozwikłać ciężkiej sytuacji i odnaleźć ziarnka prawdy, sędziowie postanowili przymknąć oczy na wszelkie ewentual-

ności życiowe, opierając rozumowanie swe wyłącznie na kodeksie. Dura lex — sed lex! Tak być musiał! Faktem jest, że Reed lat 35, z zawodu agent handlowy, popełnił zabójstwo. Faktem jest, że nie zachodzą żadne okoliczności łagodzące. A wobec tego William Reed odpowiada z art. 1438 K. K. Groziła mu kara śmierci.

W czasie naznaczonym na rozprawę, sala sądowa była zapełniona po brzegi. Podawano sobie z ust do ust wiadomość, iż oskarżony nie przyjął obrony, ufając jedynie we własne siły i twierdzi, że jest niewinny. To, co się stało, nie on uczynił, lecz złowrogie fatum życiowe. Ostatnie powiedzenie komentowano z uśmiechem, biorąc je więcej za „okrągły“ frazes literacki, aniżeli za prawdę. A jednak czała się w tych słowach zapowiedź ciekawej i strasznej spowiedzi, którą wiele osób przeczuwało intuicją.

Po odbyciu wszelkich formalności prawnych celebrowanych z pompatycznym namaszczeniem przez sąd i po namiętnej i krzykliwej mowie prokuratora, usiłując przekonać wszystkich o słuszności swoich żądań, dano głos oskarżonemu.

William Reed wstał. Postacią swą nie robił żadnego wrażenia. Był przeciętnym człowiekiem o pospolitej twarzy, z jasnymi uśmiechniętymi oczyma nieco żółtawego połysku. Patrząc w nie, trudno zaiste było dać wiarę, że ten człowiek popełnił zabójstwo i... cieszył się z tego!

— Proszę państwa! Nie umiem przemawiać i nie wiem, jakimi tytułami darzyć tych, którzy raczą mnie teraz wysłuchać. Nie przyjąłem obrony, mam bowiem wrażenie, że to co trzeba, niczyje usta nie potrafią wypowiedzieć. Człowiek tylko, który przeżył to i przecierpiał, który niejako oczyma duszy widział, potrafi jedynie choć w setnej części odmalować mój dramat życiowy. Tych, którzy spodziewają się w nim romanisu — spotka zawód głęboki. Nie kochałem, dzięki czemu nie odczuwałem zazdrości.

Panie prokuratorze! Zanim przejdę do meritum sprawy, pragnę kilka słów poświęcić panu w odpowiedzi na jego mowę.

Sucha litera prawa nie wystarcza do oceny postępów ludzkich. Czyż może kodeks karny przewidzieć wszystko zło, jakie na świecie się kryje? Czyż może iść w zawody z bujnem, szerokim życiem, mieszczałem w sobie tyle niespodzianek i tajemnic? Czyż może przeniknąć do duszy ludzkiej i zbadać przyczyny powstania myśli i zamiaru, nie zbłądziwszy w labiryncie zagadek psychologicznych, nieznanych dziś jeszcze nauce? Mało posiadamy wiadomości o świecie zewnętrznym, lecz co wiemy pewnego o życiu wewnętrznym? A jednak gnani dziwną słabością ludzką, ośmielamy się sądzić bliźnich naszych, spoglądając przez pryzmat własnej, zaściankowej wiedzy i wydawać wyrok; na podstawie ogólnego rzutu oka po powierzchni życia. Co w głębinach jego się dzieje — nie wiemy! Zły to Kompas, który nieczuły jest na drgania najmniejsze. Wieleż wyro-

ków śmierci wydano na ludzi niewinnych, których jedyną tragedją w życiu było, że stanęli wobec prawa, obciążeni takimi okolicznościami, których to prawo nie znało i nie mogło zrozumieć, czyniąc ze sprawiedliwości — gwałt i mord pospolity, upiękaszony usankcjonowaną formalnością?!

Dużo mógłbym jeszcze na ten temat powiedzieć, gdyż sam znajduję się w podobnej sytuacji i grozi mi kara śmierci, lecz sądzę, że to co powiedziałem, dostateczną jest odpowiedzią na mowę pańską, panie prokuratorze! Teraz przejdę do sprawy, mnie osobście dotyczącej.

Zabiłem! Oświadczyłem to już raz sędziemu i powtarzam raz jeszcze w sądzie. Pod względem prawnym przyznanie się do winy jest stwierdzeniem faktu, za który grozi pewna mniejsza lub większa kara. Zależne to jest od okoliczności, których w rachubę nie biorę, bowiem tak, czy owak kara jest nieunikniona. Pod względem prawnym, powiadam, lecz nie z mego punktu widzenia.

W obliczu Boga i ludzi gotów jestem przyjąć i zamiast kary należałoby się raczej ulitościwić, że nie jestem temu winien, co się stać nade mną. Ileż razy czytałem w biblii słowa Chrystusa, który obdarzał miłością swoją wrogów, mówiąc: „miłujcie ich, albowiem nie wiedzą, co czynią!“ Czytałem, lecz nie rozumiałem, teraz zaś posiadam całą mądrość tych słów, ponieważ treść ich stała się moim przeżyciem.

Było to w kwietniu, a więc temu trzy miesiące. Jako agent handlowy przebywałem wówczas w jednym z większych miast południowej Francji, załatwiając interesy swojej klienteli. Dla łatwiejszego zrozumienia tego, co powiem, zmuszony jestem zaznaczyć, że co pewien czas podlegałem atakom straszliwej nudy. Anglicy nazywają to „spleen“, Rosjanie „chandra“, ja zaś określeń ów stan psychiczny zupełnym brakiem zainteresowania się życiem.

Choroba ta powtarzała się perjodycznie co kilka tygodni i przebieg jej dosięgał nawet dziesięciu dni, poczem budziła się we mnie energja, chęć do życia, pragnienie słońca, radości i znowu stawałem się człowiekiem energicznym, umiejącym zdobywać gorzki chleb codzienny, czerpiąc ze świata wszystko, co się ludziom należy.

Chandra, na którą zwykle zapadałem, miała zazwyczaj tak ciężki przebieg, że absolutnie żadne rozrywki nie mogły wyrwać mnie z jej szponów. Całymi dniami siedziałem milczący i ponury, zamknięty w czterech ścianach pokoju, polecając wszelkie zaczęte przeze mnie interesy przyjacielom.

Jeżelim wtedy nie targnął się na własne życie, to chyba tylko dzięki zupełnej bezsilności woli, odrętwieniu myśli i czynów. Idea samobójstwa wymaga do pewnego stopnia hartu woli i zdecydowania, a ja na to zdobyć się nie mogłem. W takich chwilach, kiedy poprosto krzyzczyć mi się chciało, pod wpływem nieokreślonej cichej, drzemającej rozpacz, w chwilach buntowania się duszy przeciw straszliwej apatii, zrywałem się,

ściskałem głowę rekoma, jęcząc i wzdychając naprzemian. Chandra jednak zwyciężała, paraliżując każdy żywszy odruch mego ciała i duszy. Padałem wówczas złamany na łóżko lub fotel, ażeby przetrwać bez ruchu kilkanaście godzin aż do wyzdrowienia.

Otóż od pewnego czasu uwagę moją zwróciły charakterystyczne objawy w czasie trwania choroby. Cdy chodziłem po pokoju bez celu, potrącając meble, potykając się na dywanie, odczuwałem wyraźnie, że hałas powstający tą drogą, nie pochodził ode mnie. Szmer koków nie był szmerem mojego chodu, westchnienia, jęki i przekleństwa wydobywały się jakby z innej piersi. Wszystko to odczuwałem raczej nerwami, mózg mój bowiem pogrążony w odrętwieniu nie był zdolny do chwytania wrażeń wewnętrznych i zewnętrznych.

Dla lepszego określenia tego zjawiska muszę zaznaczyć, że poprostu wyczuwałem obecność innej osoby w pokoju, dziwnie mi znajomej. Nie był to duch żadnego zmarłego przyjaciela ani krewnego! Nie był to również duch obcy. Czulem, jak gdybym to ja hałasował, widząc jednocześnie, że żadnego w tem udziału nie biorę. Pojmowanie tego faktu nie skryształizowało się jeszcze dostatecznie w moim mózgu i nie przybrało żadnych konkretnych zarzutów. Czulem, że tak jest, a nie inaczej, że to się dzieje, a nie co innego.

Za słaby fizycznie i duchowo nie zdobyłem się na reakcję i chęć zanalizowania zjawiska, obserwując je biernie i apatycznie. Po kilku dniach jednak pewne szczegóły, na pozór drobne, których istnienie przypisać było można halucynacji, poczęły budzić w mej duszy strach niczym niewytłumaczony. Gdy sięgałem po szklankę wody lub gazetę, wydawało mi się, jakbym dwie ręce posiadał u prawego boku, lub też że ręka moja ulegała rozdwójnieniu. Gdy okiem rzucił do lustra widziałem, że obok mej twarzy widnieją mgliste zarysy jakiejś obcej głowy. Po bacznym wpatrywaniu się złudzenie pierzchno, pozostawiając jednak dziwnie mocne przekonanie o prawdziwości i realności faktu.

Tymczasem szmery w moim pokoju nabrały pewnej charakterystycznej cechy. Mianowicie nie potrzebowało ruszać się, ażeby złowić uchem hałas, wytwarzany przeze mnie w postaci odgłosu kroków, przesuwania mebli, szelestu ubrania itp. O ile dawniej słyszałem w tych szmerach pewne szmery obce, będące jakby echem moich myśli, o tyle obecnie mogłem się w nie wsłuchiwać, siedząc spokojnie bez ruchu, trwały one bowiem nadal.

Razu pewnego zdarzyła mi się następująca rzecz: chcąc usiąść w fotelu, zbliżyłem się do niego i jakiś głos wewnętrzny lub jeśli można rzec, instyngt począł mi szeptać, że miejsce jest zajęte, aczkolwiek nikogo nie widziałem. Nie zważając na to, usiadłem i doznałem oszalamiającego wrażenia, że siedzę komuś na kolanach. Z naciskiem stwierdzam, że na fotelu nikt nie siedział, a jednak wrażenie było tak silne, że zerwałem się z głośnym krzykiem przestraszenia.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym życie moje zmieniło się w piekło dantejskie, pełne niepokoju, wiecznej trwogi i śmiertelnych wizji. Było to wieczorem o zmroku. Po tygodniowym przebywaniu w domu, czując, że chandra znikła i że powoli odzyskuję równowagę duchową, postanowiłem nazajutrz wyjść na miasto i jąc się z powrotem swoich interesów. Dziwne szmery i hałasy od kilku dni nie powtarzały się, przeto cieszyłem się myślą, że będę mógł wspanać się spokojnie choć przez jedną noc, aby z nowymi siłami stanąć do pracy. Wziąwszy kandelabr szesioramienny z zapalonemi świecami, udałem się do sypialni. Przechodząc obok wielkiego lustra, wiszącego w pokoju, rzuciłem okiem na odbicie mej postaci i zadrzałem. Za mną w niewielkiej odległości stał czło-

wiek uderzająco do mnie podobny. Nos ten sam, oczy te same, postać i ubranie to samo. Oberwaliśmy się nawzajem w milczeniu, wpatrzeni w nasze odbicia na srebrzystej powierzchni lustra. Ja zastygłem bez ruchu, z ręką wyciągniętą przed siebie i trzymającą świecznik. Głęboka cisza panowała w całym domu. Świece paliły się jasno, trzaskając wesoło, a roztopiona stearyna wskutek pochyłego trzymania świecznika oblepiała mi palce. Wreszcie kandelabr runął na ziemię, świece połamały się i pogasły, a ja, dławiony spazmem szalonego strachu osunąłem się na kanapę, wymachując jak warjat rekoma.

Każdemu z państwa wyda się zrozumiałym, że noc tę przeleżałem w tem miejscu, gdzie upadłem. Rozwartem szeroko oczyma wpatrywałem się w ciemność, oczekując lada chwila powtórzenia się straszliwej wizji. Bać się własnej postaci jest dość zabawne, ale w sytuacji mojej rzecz taka przedstawia się zrozumiale. Przedewszystkiem wierzyłem świecie, że nie ulegam halucynacji, przeżyłem bowiem wrażenie tak dla mnie silną posiadało argumentację, że gotów byłem sprzeczać się z każdym, kto by ośmielił się sądzić inaczej. Powtórnie nie starałem się analizować zjawiska, jako dość ciekawego dla nauki, gdyż nie miałem ku temu zdolności ani chęci. Cała moja rola polegała na strachu. Poprostu bałem się — i nic więcej!

Drużga potężna wizja wstrząsnęła całym moim jestestwem w tydzień po opisanym wyżej fakcie. Wracałem do domu, zmęczony całodzienną bieganiem po mieście. Na schodach panowała ciemność, przeto zapaliłem zapałkę, oświetlając sobie drogę do mego mieszkania. Przy samych drzwiach rzuciłem zapałkę na ziemię, chcąc wydobyć klucze z kieszeni. Wtem ku memu zdziwieniu spostrzegłem wydobywające się blade światło przez dziurkę od klucza... Ktoś widocznie zapalił lampę w moim gabinecie. Z pewnością, korzystając z mojej nieobecności, zakradł się złodziej i plądruje mi po szufladach. Wyjąłem rewolwer i nacisnąwszy zlekka kłamek próbowałem otworzyć drzwi. Były zamknięte. Wziąłem tedy klucz i z ogromnym napięciem uwagi, starając się nie czynić hałasu, otworzyłem je. Znalazłem się w przedpokoju, z którego przez otwarte drzwi widać było oświetlony gabinet. W palcie i kapeluszu na głowie poczęłem się skradać cichymi krokami. Przy biurku, oświetlony do połowy, siedział mój sobowtór. Podobieństwo było tak uderzające, że poprostu nie wiedziałem, czy to ja stoję we drzwiach, czy też siedzę przy biurku.

Ze zdrtwiiałej ręki wypadł mi rewolwer, a serce poczęło bić rytmem mocnym, niespokojnym. Rozsądek i decyzja opuściły mnie nagle. Była jedną rzecz, która każdy mój nerw zatrzuwała jadem szalonego strachu i przerażenia.

Aczkolwiek twarz sobowtóra była moją twarzą, jednak, przy zachowaniu idealnej analogii, między naszymi twarzami była olbrzymia różnica i to właśnie stało się przyczyną moich nieszczęść i katastrofy. Twarz jego cechował wprost nieziemski spokój. Nie należy brać słowa „nieziemski“ w znaczeniu słodczy, upojenia lub zharmonizowania się rysów w pewien wyraz pogody lub zamyslenia. Był to spokój, który przerażał swą treścią, który budził najwyższy lęk i przerażenie, który odpychał wprost brakiem życia i uczuć. Twarz jego była to maska, w której niktby, najzdolniejszy nawet psycholog, nie odnalazł śladu zdziwienia, zadowolenia, smutku, przestraszenia, pogardy, wesołości itp. itp. Wielka wspaniała obojętność i zimny spokój osiadł na niej.

Bez jednego słowa sobowtór mój zwrócił zwolna głowę i spojrzał na mnie. Spojrzenia nasze zwały się i zakrzępyły w bezruchu. Wzrok jego działał na mnie, jak wzrok węża na ptaka. Czulem, że słabną. Straszliwy

nieziemski spokój, rozlany na jego twarzy, burzył mą krew i tamował oddech. Pot za lewał mi czoło, język wysechł, lecz stałem wciąż, jak zaczarowany.

Naraz posłyszałem jakiś hałas na schodach. Ktoś szedł na górę, kaszłąc i postukując laską.

To przywróciło mi zdolność ruchu. Schyliwszy się szybko po rewolwer, wymierzyłem prosto w twarz sobowtóra i pociągnąłem za cyngiel.

Rozległ się huk i brzęk rozbitego szkła. Lampa zgasła.

Jednym skokiem znalazłem się przy koncie i zapaliłem drugą lampę, wiszącą u sufitu pośrodku pokoju.

W fotelu przy biurku nie było nikogo.

Długi czas minął, zanim przyszedłem do siebie i uspokoiłem się cokolwiek, tłumacząc powstanie wizji, jak również szmery i hałasy w moim mieszkaniu, właściwościami medjalnymi, jakimi, być może, obdarzyła mnie natura. A jednak przeciw logice i chłodnemu rozsądkowi, opierającemu się na faktach naukowych i zależności zjawisk anormalnych od wrażliwości nerwów, protestowało wielkim głosem serce, oszalałe ze strachu. Godziłem się na wszystko, przyznawałem każdej tezie rację istnienia, czując jednocześnie, że to, co się ze mną dzieje, nie może podlegać żadnemu szablonowi.

Jeśliby kto zapytał się, jakiego rodzaju były te zjawiska i co o nich sądzę, do dnia dzisiejszego nie mam na to konkretnej odpowiedzi. Wielu z nas tłumaczyłoby sobie pewnie rozdwojeniem jaźni osobowej, istnieniem drugiego ja, oderwanym się ciała astralnego lub poprostu halucynacją, czy to pod wpływem alkoholu, którego zresztą nie używałem, czy też zaburzeń nerwowych. Ja odrazu zająłem odmienne stanowisko. Zacząłem się bać. Strach ten wypływał jakby nie ze mnie, a z zewnątrz i wsaczał się w głąb mego serca, mroząc i paląc ogniem naprzemian.

W trzy dni później sobowtór ukazał mi się w cukierni, w biały dzień o godzinie 11-tej przed południem. Jadłem drugie śniadanie i podnosiłem właśnie ciastko do ust, gdy nagle zobaczyłem go przy sąsiednim stoliku.

Kiedy i jak wszedł, nie zauważyłem. Byliśmy do siebie tak podobni, że gdyby przedemną nie stała filiżanka kawy i talerz z ciastkami, a jego stolik nie był pusty, można byłoby wziąć jego za moje odbicie w lustrze.

Ja sam narazie nie mogłem sobie zdać sprawy, kto z nas właściwie jest Williamem Reedem, a kto jest sobowtorem.

Tymczasem publiczność, znajdująca się w cukierni, zwróciła uwagę na uderzające nasze podobieństwo, bowiem poczęto szeptać i obserwować nas z uśmiechem.

Poczułem drżenie w całym ciele i przyspieszone bicie serca. Były to pierwsze oznaki zbliżającego się paroksyzmu strachu. Tchnąca ohydny spokojem i straszliwą obojętnością twarz mego sobowtóra działała na mnie zabójczo.

Nie wiedząc sam co zrobię, ciężkim krokiem zbliżyłem się do stolika, przy którym siedział mój sobowtór i ostro spojrząłem mu w oczy. Ów oczu nie spuścił i patrzył w dalszym ciągu. Gnany żądzą mordu i nienasyconym pragnieniem zemsty za mój strach i przerażenie, wyprostowałem się nagle i z góry trzasnąłem zaciśniętą pięścią w znienawidzoną przeze mnie głowę. Biłem w nadziei, że tem uderzeniem rozwiążę zagadkę psychiczną, że pomszczę się za nocne bezsenne, spędzone w objęciach trwogi i śmiertelnego przerażenia, że wywołam na znienawidzonej przeze mnie twarzy wyraz bólu, przestraszenia lub oburzenia.

My, Anglicy, od młodych lat ćwiczymy mięśnie ciała i pielęgnujemy je odpowied-

nio, to też uderzenie moje było co się zowie uderzeniem! Całą sprawność muskułów i całą ich siłę skierowałem w jeden punkt, którym była jego głowa. Trzasnął marmurowy blat stolika, ręka zalała się krwią.

Sobowtór znikł bez śladu.

Ludzie, będący świadkami tego zajścia, powstawali z miejsc. Rozległy się okrzyki zdumienia.

Pozostawiając dwa banknoty, jako odškodowanie dla właściciela cukierni, wybiegłem jak warjata na ulicę.

Od tego dnia rozpoczęła się dla mnie dzika gonitwa z własnym moim cieniem. Po pięć, po sześć razy dziennie zjawiał się nagle przed memi oczyma ze zwykłą sobie maską śmiertelnego, spokoju i obojętności na twarzy, poczem zniknął raptownie. Nie tylko ja, lecz ludzie obcy, będący przypadkiem świadkami owych spotkań, widzieli go wyraźnie. Nie próbowałem strzelać ani bić, zgóry przeświadczony o bezcelowości tego czynu. Cierpiałem tylko w milczeniu, nie rozumiejąc i nie starając się dociec przyczyny mojej choroby psychicznej. Do mieszkania swego przychodziłem tylko na noc, ażeby, po zażyciu proszków nasennych, zasnąć snem sztucznym, dającym odrobinę złudzenia spokoju i ciszy. We śnie nie zjawiał się wcale. Skoro nad ranem obudziłem się, wciągałem pospiesznie ubranie z zamkniętymi oczyma, bojąc się otworzyć w obawie ujrzenia jego ohydnej twarzy. Niegolony oddawna zarost czynił ze mnie więźnia, który wyrwał się na wolność, zaś ruchy niepewne i bojaźliwe spojrzenia, które rzucałem, ażeby się upewnić czy „on“ mnie nie ściga, słusznie mogłyby wzbudzić podejrzenie, że jestem tropiony przez władze policyjne.

Istnieje jeden rys charakterystyczny, cechujący doskonale nikczemność i wstrętne tchórzostwo każdej natury ludzkiej, a mianowicie: z chwilą, kiedy niewierzący człowiek, mający siebie za zdobywcę świata, za istotę nie podlegającą żadnym zabobonom religijnym i sentymentom moralnym, znajduje się w szponach czegoś strasznego i nieznanego, co do tej pory nie było objęte żadną doktryną — wówczas powraca on do opuszczonego przez się Boga z dziwną pretensją, ażeby go obronił przed tem nieznanym i nie dał mu zginać, powołując się na Jego miłosierdzie.

Aczkolwiek kilkanaście lat temu pękła ostatnia nić, łącząca mnie z religią i całe swoje jestestwo pogrzyżyłem w zacieklej walce o byt, interesując się tylko tem, co było widzialne i namacalne, jednak pod wpływem strasznych przeżyć i nieustannego strachu, myślą skierowałem się do Boga z jakąś nieśmiałą nadzieją, że oto On osłoni mnie Swoją potęgą.

Ratując się przed obłędem, poszedłem do kościoła i poprosiłem księdza, ażeby mnie wypowiadał. Skoro znalazłem się przed konfesjonalem doznałem dziwnego uczucia. Zdawało mi się, że jestem małym chłopcem, który zmartwiony i zasmucony echem, idzie do mamy, ażeby na jej kolanach wypłakać swój żal i smutek i zacerpnąć słodkiej otuchy i ukojenia.

Ksiądz, poczciwy staruszek, z białymi jak mleko włosami, czekał cierpliwie, przymknąwszy oczy. W kościele nie było nikogo. Pustka i cisza działały na mnie kojąco. Na głównym ołtarzu krzyż wyciągał miłośnicie ramiona, w których sądziłem, że znajduję ucieczkę przed strasliwymi wizjami.

Rozrzewnienie poczęło mi ścisnąć gardło, oczy zwilgotniały i nastrój dziwnie radosny zawitał do serca. Odpnęłam się, jak człowiek po ciężkiej chorobie, któremu stan zdrowia pozwala przejść się po pokoju i użyć cokolwiek ruchu. Zachwycająca podroż! Daje ona tyle radości i uśmiechów.

Teraz — albo nigdy!

Wtem w arkadach sklepienia kościelnego

rozległo się ponure echo kroków ludzkich. W przeraźliwej ciszy i pustce stapania podobne były do grzmotów, z których każdy wbił mi się w serce, huczał w mózgu i podnosił włosy na głowie.

Ktoś szedł w naszą stronę. Ksiądz, jakby nie słysząc, czekał cierpliwie z przymkniętymi oczyma, a ja zaczynałem pojmywać, kto idzie ku mnie a właściwie po mnie.

Chciałem krzyczeć, chciałem płakać, chciałem paść do nóg księdza i błagać o ratunek i zmiłowanie — lecz język przyrośnięty do podniebienia, nie mógł się poruszyć. Wydałem z siebie jakiś bełkot niezrozumiały i — urwałem...

Odgłos kroków ustał. Z trudem odwróciłem głowę.

Za mną stał „on“, mój sobowtór. Kamienną twarz jego, kipiącą wprost z życia swoim nadludzkim spokojem, rozjaśniał mały, sztyderycy uśmiezek. Właściwie był to ironiczny grymas ust.

Mój sobowtór śmiał się!

Zerwałem się z kłęczek, krzyknąłem strasznym głosem i puściłem się pędem przez całą długość kościoła ku wyjściu. Do uszu moich dobiegła gama niesamowitego śmiechu. Nie wiem może to on, a może ja się śmiałem.

Dwa tygodnie szalonej męczarni wyczerpały mnie do tego stopnia, że życie moje zmieniło się w jakiś półdziki sen, przerywany halucynacjami. Mam wrażenie, że były to początki obłąkania. Szukałem zapomnienia wszędzie, gdzie tylko znaleźć je można było. Zwiedziłem wszystkie dancingi, wszystkie nocne spelunki, poznałem wytworne mieszkania, lecz ani szampań, ani zabawa w najbardziej hałaśliwym gronie, ani rozpusta wyuzdana nie zdołały we mnie zagłuszyć trwogi, wyjącej w sercu. Gdzie ja, tam i on był. Gdzie okiem rzuciłem — widziałem twarz jego, nacechowaną cynicznym spokojem, bez najmniejszego wyrazu, bez myśli, bez pragnień.

Tymczasem skromny kapitalik, jaki miałem w zapasie na czarną godzinę, wyczerpał się. Moje przedsiębiorstwo, widząc, że przestałem zupełnie pracować, wymówiło mi posadę. Zostałem bez środków do życia, odepchnięty i aważany za warjata przez ludzi, opuszczony przez Boga, sam jeden, skazany na łaskę lub niełaskę nieznanego potęg psychicznych.

Bez miłości, bez słowa pociechy, bez iskry nadziei w sercu, poczęłem nienawidzić wszystko, co niegdyś piękne mi się wydawało. Na żadną twarz nie mogłem patrzeć bez odrazy. Ścigany przekłętą wizją wędrowałem się z miejsca na miejsce, unosząc z sobą wieczny strach i trwogę. Uczucie to tak wielkie posiadało napięcie, że twarz moja

była ustawicznie skrzywiona paroksyzmem strachu i przerażenia. Widok taki odstraszał ludzi i mnie samego odtrącał od lustra. Nie mogłem wprost patrzeć na nią i na twarz mego sobowtóra. Im więcej stawałem się wcieleniem męki cierpienia, tem więcej sobowtór mój był spokojny i obojętny na wszystko.

Postanowiłem wreszcie popełnić samobójstwo. Można było to nazwać również zabójstwem. Zresztą, jak kto chce. Skoro on był mną, a ja nim — samobójstwo stawało się zabójstwem a zabójstwo — samobójstwem. Szczytem mych marzeń było uchwycenie takiego momentu, w którym mógłbym strzelić mu w samą twarz. Myśl ta stała się dla mnie osłodą w cierpieniu.

Czekałem chwili odpowiedniej.

Dnia pewnego idąc ulicą zauważyłem sobowtóra mego, śpieszącego za mną. Szedł w niewielkim oddaleniu, z rękoma w kieszeniach, z maską śmiertelnego spokoju na twarzy. Radość wstrząsnęła całą moją postać. Jak wówczas w kościele, pomyślałem sobie:

— Teraz albo nigdy!

Obejrzałem się.

Zamiast sobowtóra ujrzałem za sobą otyłą postać pastora, idącego z uśmiechem na tłustej, lśniącej potem twarzy. Człowiek ów machał rękoma, widocznie w celu powiększenia szybkości swych nóg i co chwila ocierał czoło kraciastą, wielką chustką.

Zdębiałem. Przez pewien czas przeżuwałem w milczeniu zdumienie, poczem, nie mogąc sobie w żaden sposób wytłumaczyć tej metamorfozy, rzuciłem znowu okiem, celem sprawdzenia, czy nie ulegam przypadkiem halucynacji.

Zamiast pastora zobaczyłem mego sobowtóra!

I tak co chwila sobowtór mój stawał się pastorem, to znowu przybierał naturalną swą postać.

Poczęło mnie to denerwować. Jakaś dziecinna myśl błysnęła w mózgu, że sobowtór mój, czując śmierć blisko, szuka wybiegów, w celu zmylenia mej czujności. Dwadzieścia razy oglądałem się poza siebie i za każdym razem widziałem to pastora, to znowu sobowtóra. Wreszcie pastor zniknął z pola mego widzenia, a natomiast znana mi ohydna twarz poczęła płynąć za mną.

Kurczowo poczęłem ścisnąć kolbę rewolweru w kieszeni. Aczkolwiek dużo nas ludzi miało, odgłos kroków moich i sobowtóra bębnił mi w uszach przeraźliwie. Czulem, że bledną i bicie serca zaczyna stawać się rytmicznym. Obejrzałem się. Tak, to on! Jeszcze raz! Napewno on!

Odwrociłem się raptem, wyrwałem z kieszeni rewolwer i przyłożyłem lufę do znie-nawidzonego przeze mnie łba.

Nagle w chwili, kiedy cyngiel poruszył się, doznałem wrażenia jak gdybym otrzymał strasliwy cios po czaszce. Z pod lufy rewolweru patrzyły na mnie ze strasznym przerażeniem oczy oszalałego ze strachu pastora.

Zapóźno! Huknął strzał i człowiek, który mi w życiu nic nie zawinił, osunął się do moich nóg, obłany krwią. Długą chwilę stałem nad trupem, czekając na metamorfozę. A nuż dobrodusza, poczciwa twarz pastora zmieni się w ohydny maskę mego sobowtóra?

Resztę państwa wiecie! Na zakończenie zmuszony jestem zaznaczyć, że od dnia zabójstwa pastora O'Brien, sobowtór znikł bez śladu. Nie wiem i nie rozumiem, jaka łączność zachodziła między zabitym przezemnie pastorem a sobowtorem, jak również, co za wpływ wywarła śmierć jego na halucynacje, którym przez tak długi czas podlegałem. Wiem tylko, że jestem teraz zdrowym, normalnym człowiekiem, którego tajemnicze siły psychiczne uczyniły narzędziem zbrodni!

MUSIMY PODWOIĆ
SZEREGI
LIGI MORSKIEJ
I KOLONIALNEJ!





GWAR BOISKA — I...



...CISZA PRZYRODY

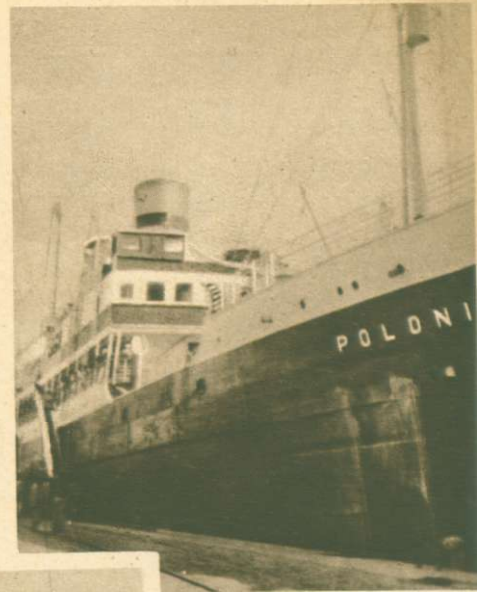


«Ateneul Roman» w Bukareszcie.

A więc jedziemy do Rumunii. Od stacji granicznej Grigore Ghika Voda przejeżdżamy wśród łanów kukurydzy. — Jest to jedno z bogactw Rumunii. Z okien wagonu restauracyjnego przy dobrym, a przede wszystkim tanim winie, widzimy pasmo Karpat, a w okolicach Buzau pasmo górskie pokrywają wykrzykniki szybów wiertniczych. Wygląda to bardzo oryginalnie.

Bukareszt. Nazwano go małym Paryżem. Dlaczego? Chyba, ze względu na to, że łatwo o nim można powie-

TAM GDZIE ZACHÓD STYKA SIĘ ZE WSCHODEM



«Polonia» w porcie Constanty.



Wybrzeże morza Czarnego koło Constanty.

munji, sprzedaje po bajecznych cenach złote ogromne brzoskwinie, czy dojrzałe winogrona. Mała waga pomaga w interesie.

Poza tem nieodłącznie związani z wyglądem ulicy bukareszteńskiej są liczni pucybuci. Najczęściej posiadają oni tajemniczą wybitnie wschodnią twarz, a również tajemnicę czyszczenia butów. Jest to cały, tradycją uświęcony, obrzęd. Szczotki, najrozmaitszego koloru miksury, błyskawicznie i ustawicznie zmieniane przez pucybuta — wywołują wsipa-



Typowa dla dzielnicy ogrodów w Bukareszcie, willa o charakterystycznym stylu.

dzieć: śpiew, wino, kobieta. I rzeczywiście kobiety są tu piękne, bodaj właśnie zgrabne ich figury, róż i pomadka umiejętnie stosowane, najbardziej zbliżają Bukareszt do Paryża. — Niewątpliwie widok ich na ulicach pięknego miasta nadaje mu specyficzny charakter.

A potem... samochody, samochody i jeszcze raz samochody. Nasza stolica i wygląd jej ulic, to pod względem motoryzacyjnym — małe miasteczko! Mało! Stare, warszawskie taksówki, popularne kłekoły i brukotłuki to praojce, czy pradiadki tu-tejszych aerodynamicznych taksówek. — Wszystkie nowoczesne, piękne, tanie w użyciu. Świadczy o tem dla porównania fakt, że benzyna jest tu mniej więcej o połowę niższą w cenie. Gdy się widzi te wozy i porównuje się je z warszawskimi taksówkami, to człowiek zaczyna rozumieć ideę ogumienia wozów i zaprzęgów konnych. Przynajmniej to oryginalne. Omal możnaby powiedzieć o nas, że motoryzacja jest ciągniona za głowę... konia.

Ten rozmach objawia się w stolicy Rumunii nie tylko w motoryzacji: Wszędzie widać burzenie starych domów, budowę nowych kamienic — drapaczy chmur.

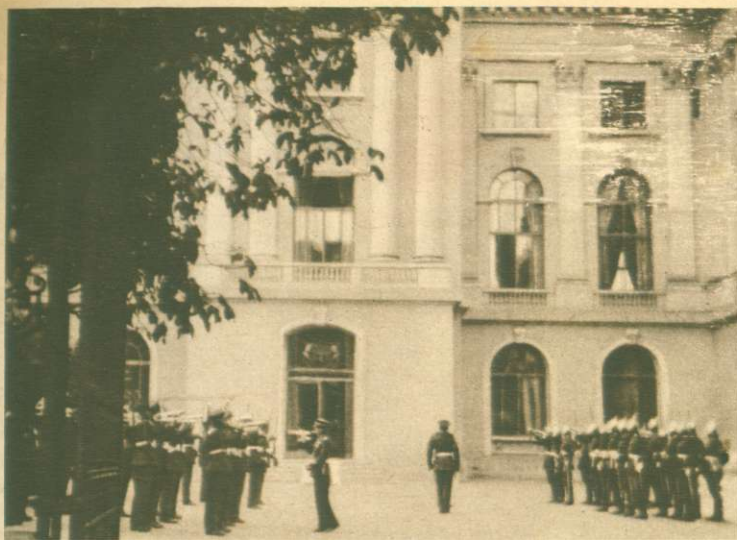
To amerykańskie tempo, nowoczesne samochody, piękne zabytki, wielka ilość ogrodów i zieleńców, szerokie ulice i aleje, to mimo położenia geograficznego — Zachód Europy. Ale widać również charakterystyczne szczegóły, które znowu przypominają piękno Wschodu. Przede wszystkim w okresie letnim pełno na ulicach wykrzykujących przekupniów z charakterystycznymi nosidlami na ramionach, z dwoma koszami owoców. Bardzo to piękne wygląda. Przekupień często o twarzy starego Turka z południowych stron Wielkiej Ru-



Olbrzymie pola kukurydzy są dla turystów ciekawym terenem wycieczkowym.

niałe efekty. Najstarszy nawet but wygląda „młodzieńczo“, jak po operacji conajmniej Woronowa.

Dwa te szczegóły ulicy bukareszteńskiej łącznie ze wspianymi powozami, urzędzonymi naprawdę z przepychem wschodnim, przypominają, że niedaleko stąd jest już



Zmiana warty na podwórzu królewskiego pałacu w Bukareszcie.



Malownicze chaty góralskie nadają wsi rumuńskiej uroczę piętno.

tw. „bliski Wschód”. Kontrasty tego rodzaju można zaobserwować w Rumunii niejednokrotnie.

Ale skoro już jesteśmy na ulicy bukareszteńskiej, to idąc najpiękniejszą ulicą i największą Caleą Victorią, musimy zaobserwować pod pałacem królewskim wojsko rumuńskie. To gwardja królewska trzyma tu straż. Na zamku powiewa flaga — król Karol jest w stolicy. O godz. 11-tej rano odbywa się zmiana warty. Żołnierze w imponujących pikielhaubach bogato złotych, barwnych strojach, w białych rękawiczkach, dokonują przy zachowaniu ścisłej etykiety zmiany warty. Przypatruje się temu zawsze entuzjastycznie nastrojona do swego wojska ulica bukareszteńska.

Wspomniałem na początku, że największe wrażenie, jakie Bukareszt wywiera na turyście, możnaby zawrzeć w tytule operetki „Kobieta, wino, śpiew”. Jeśli idzie właśnie o to wino i śpiew, to są one tutaj bardzo liczne i bardzo urozmaicone. I Rumuni lubią się bawić i umieją się bawić. Gdy się ich ogląda w licznych lokalach, to wydaje się bliskiem prawdy, słyszane czasem zdanie, że Polacy pomimo wszystko... są smutnym narodem.

Tutaj rozbawienie, radość, beztrąsko wychodzi z lokali i przenosi się na ulicę, widąc ją wszędzie na ulicach w roześmianych przechodniach. Korzystaliśmy z tego w pełni. Gorzej z tem jest w naszej Ojczyźnie. Proszę spróbować przechodzić ulicę z rozbawioną „facją”... Coby się to działo! Policja robi ruch — bo jegomość ma niepewny wygląd, pewnie pijany. A na wszelki wypadek zbada Skarbowa napewno zbada księgi, bo to jakaś niepewna historia, takie rozbawienie! Tutaj tego niema. Troski się zostawia w biurze, czy w domu.

Oczywiście nastrój ten udziela się przyjeźdnym, stanowi magnes dla turystów. — A temwięcej, że Polacy szczególną cieszą się tu sympatją. Nie można się dziwić więc, że jak już przyjeżdżają, to na wyjazd doprawdy nie mają ochoty. Znam wypadek, że było dwóch młodych turystów dziennikarzy z Polski, którzy spakowani, przez dwa tygodnie „wyjeżdżali” z Bukaresztu! Mieli jechać do Konstantynopola. Dla pewności bilety już zostały zakupione. Wreszcie nastąpiła ta normalnie decydująca chwila, gdy rzeczy znalazły się w taksówce, a hotel z taksówką. Wszystko było w porządku. Jednak widocznie pech chciał, że pospieszny zdążający nad morze Czarne do Constanzy, a mający połączenie bezpośrednie ze statkiem, udającym się nad Bosfor, nie czekał. Pojechał! Podobno dwaj turyści w niedługim czasie spieniężyli w uprzejmem biurze przedstawiciela linii Gdynia—Ameryka bilety okrętowe. W rezultacie jeszcze tydzień zabawili w Bukareszcie. Podobno bagaże znajdowały się dla pewności w przechowalni na dworcu...

Piękno Rumunii — to nie tylko Bukareszt. Dla turysty kraj ten stanowi niezwykle rozpiętość wrażeń. Wspaniałe! Karpaty, piękne morze Czarne. Wystarczy pojechać do letniej rezydencji króla, do Sinaia, by

móc oglądać wspaniałe szczyty górskie. — Niemniej piękna jest okolica Podkarpacia. Kryją się tu u stóp potężnego masywu piękne i liczne miasta: Sighisioara, Sibiu, Brasov, Campulung i wiele innych.

Takie np. Sibiu jest naprawdę pięknym, estetycznym miastem, pełnym zabytków, wąskich uliczek. Założona przez kolonistów Sasów, stanowi jedno z najoryginalniejszych miast Rumunii. Trudno zresztą wymienić te wszystkie miasta i miasteczka, pełne swoistego uroku. Jest jeszcze Campulung, znane z wyrobów wspaniałych kilimów, zapasek i wiele innych.

Wreszcie o potężde Rumunii, jej wroście w przyszłości daje wyobrażenie okręg przemysłowy zachodniej Rumunii, a przede wszystkim z gąłębiami naftowe Campina i Moreni. Rumunja przecież zajmuje pierwsze miejsce w produkcji europejskiej nafty, a siódme w światowej.

Trudno pominąć rumuńskie morze. Brzeg jego położony jest mniej więcej na tej samej szerokości co Wenecja. Stąd wspaniały klimat. Plaże o złocistym piasku są w Mamaia koło Contanzy. A dalej na południe w Balciu, Eforia, czy Carmen Silva. Rapid łączący Bukareszt z Constanzą jest nie tylko najszybszym połączeniem w Rumunii, ale też posiada jeden z najdłuższych wiaduktów kolejowych. Przerzucony nad deltą Dunaju, posiada blisko 30 km długości.

Piękny kraj i bardzo bogaty kraj. Trudno wyrazić to wszystko w krótkim feljtonie. Niemniej niech tych kilka skromnych wobec jego piękna i oryginalności pochwał, będzie usprawiedliwieniem dla tych, którzy spóźniają się z powrotem z urlopu, spędzającego w tym kraju. Aby to zrozumieć, trzeba tam być...

Dr Ignacy Kleszczyński.



Cerkiewka zamkowa i klasztor w Sinaja. Wszystkie zdjęcia fot. Dr. Ignacy Kleszczyński.



Zamek królewski w Sinaja leży w pośrodku dużych lasów.



Podkarpacie rumuńskie obfituje w przepiękne widoki.

À

spotykamy w żadnym
w prasie zagranicznej.

Ale tytuł ten ma być
no być raczej: Sceny
i czas wykonania owe
jak i dokumentarne.

Odstośmy bowiem
Zazwyczaj zdjęcia z
generalnej próbie, nie
naśladową wówczas m
a nie o duchu, treści i
fje teatralne, jakie od
wistość sceniczną. Mo
za gablotkami wystaw
na jakie patrzymy z te

Ten wstęp był pot
wykonywanych przez

Pod pseudonimem d
katów krakowskich, i
pięknych. Nie miałem
ale byliśmy już, zro
Dr Azet co chwila p
zaraz bogatsze o jes

Doskonale nietylko
kiem na swoją treść



Powyżej: Loda Halama na scenie
teatru „8'15” w Warszawie.



Sceny = se
à l



Powyżej: Zespół taneczny Vety
Zahradnik na scenie teatru
„Bagatela” w Krakowie.

Na prawo: Miła Kotpikówna na
estrady Sali Saskiej w Krakowie.



Od lewej: Halina Radlińska na estradzie
Tom (w środku zdjęcia) tym razem prz

Na prawo: Irena Eichlerówna na scenie Teatru Nowego w Warszawie.



la minute... „Świetny tytuł! — powiedziałem redaktorowi „Asa”, gdy komponował „rozkładówkę”, jaką w tej chwili oglądacie. Bo trudno lepiej scharakteryzować rodzaj i znaczenie fotografii teatralnych, ilustrujących dziś „Asa”, fotografii takiego typu, jakich nie ma w polskim czasopiśmie, a na jakie rzadko natrafiamy w innych.

tylko drobną wadę: nie jest stuprocentowo ścisły. Powinny być scenki i estrady w ułamku sekundy. Albowiem sposób wycięcia zdjęć decyduje o ich wartości zarówno artystycznej, jak i technicznej.

W tajemnicze fotografowanie przedstawień teatralnych, baletowych, sztuk, rewij, lub popisów baletowych dokonuje się nie w atelii fotograficznej (1). Reżyser i aktorzy nie są świadomi sytuacji scenicznej, ale, pozując się, myślą o obiektywie, o wyrazie sztuki, w której biorą udział. Dlatego fotografowane przedstawienia, są ładne, ale niezawsze wiernie oddają rzeczywistość. Można się o tem łatwo przekonać, porównując oglądane w czasopiśmie zdjęcia z sytuacjami scenicznymi z teatralnego fotela. Są nieraz poważne różnice..

Ważny jest do scharakteryzowania rodzaju zdjęć z teatru, nie tylko sposób, ale i podkreślenia ich wagi.

W przedstawieniu „Azeta” ukrywa się jeden z wybitnych młodych aktorów, ale i równocześnie wybitny znawca i miłośnik sztuki. W tym przedstawieniu jeszcze sposobność spotkać się z nim na sali sądowej, zresztą nieznanymi sobie, sąsiadami na sali teatralnej. W tym przedstawieniu podniósł do oka aparat fotograficzny i jego zbiory były jeszcze jedno doskonałe zdjęcie.

Ważne jest ze względu na technikę wykonania, ale przede wszystkim i wartość. Jego zdjęcia, to dokument, który głównie decyduje o wartości przedstawienia, gra artystów, sytuacje sceniczne itd. Jego technika fotografowania pozwala na ujęcie nie tylko postaci, ale autentycznego ruchu artysty. A przecież w sztuce teatralnej, w sztuce scenicznej, ruchu i gestu decyduje o wartości kreacji, jak głos i jego modulacja. Jeszcze ważniejsze zastosowanie ma ten sposób fotografowania widowisk przy popisach baletowych, gdyż precyzyjniej i niespodziewanie odświeżają nam piękno (względnie usterki) plastyki ciała i ruchu tancerza.

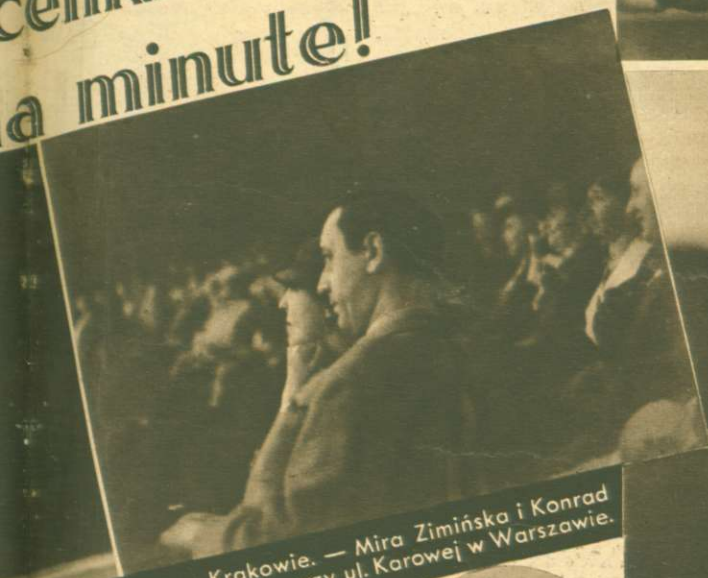
b.

Na prawo: Lena Żelichowska na scenie teatru przy ul. Karowej w Warszawie.



W kole: Lopek Krukowski na scenie „Cafe-Clubu” w Warszawie.

Scenki i estrady za minutę!



W kole: Lopek Krukowski na scenie „Cafe-Clubu” w Warszawie. — Mira Zimińska i Konrad Kurtyka na widowni teatru przy ul. Karowej w Warszawie.



Helena Groszówna i Junosza Stępowski na scenie „Cyrulika Warszawskiego”



Zbigniew Rakowiecki... bez maskil

Fot. Forbert, Warszawa.

ARTYŚCI NA CENZUROWANEM ZBIGNIEW RAKOWIECKI

tego fachu Radulski, jedyny biały, który tańczył w murzyńskiej operetce.

— Nie ma pan nawet szkoły dramatycznej? — pytam w dalszym ciągu.

— A nie mam.

— A nie uczył się pan śpiewać?

— Też nie!

— Jak się pan wobec tego dostał do teatru?

— O, to bardzo romantyczna historia — odpowiada artysta. — Na deski sceniczne sprowadziła mnie... nieszczęśliwa miłość...

— Mój Boże, taki ładny chłopiec, nieszczęśliwa miłość i scena. Ależ to strasznie interesujące! Musi mi pan koniecznie opowiedzieć tę historię — proszę zaciękawiona, wiedząc, że Zbyszek Rakowiecki cieszy się wielkim powodzeniem u pici pięknej.

— Moja karjera życiowa miała iść, w myśl życzeń mojego ojca, w zupełnie innym kierunku — rozpoczyna opowiadanie pan Zbyszek. — Po maturze wstąpiłem do Szkoły Nauk Politycznych. Pech chce, że zakochałem się, w dodatku nieszczęśliwie. Przyjaciel mój, artysta operetkowy, widząc, że ze mną źle, namówił mnie, bym dla oderwania myśli od przedmiotu mych westchnień, zabawił się w teatr. Począłem występować jako statysta, śpiewałem w chórach, tańczyłem. Ta „zabawa“ zaczęła mi się bardzo podobać. Mniej podobała się mojemu ojcu, ziemianinowi dawnych poglądów, który, chcąc mnie naprowadzić na drogę cnoty, wstrzymał apanaż. Ale i to mnie nie zdołało wyrwać z teatru. Połknąłem już za dużą dawkę trucizny. Biedowałem strasznie, utrzymując się przez pół roku z dziennych honoracji statysty.

Dopiero, jak to zwykle się dzieje, przypadek zrzucił, że dostałem większą rolę w zastępstwie chorego kolegi. Jakoś się udało. Wobec tego dyrekcja powierzyła mi, znów szczęśliwym zrzędzeniem łaskawego losu, w powodu wyjazdu zagranicę Wawrzkowicza, główną rolę po nim w operetce: „No, no, Nanette!“. — Z rolą tą byłem następnie w Łodzi na gościnnych występach. Potem już się sygnęły operetki jedna po drugiej. „Całus i nic więcej“, „Taniec szczęścia“,



...i jako „szef reklamy“ w operetce „Kolettta“, granej na deskach Teatru „8.15“.

Fot. Forbert, Warszawa.

Operetka to bardzo despotyczna pani. Czego to ona nie wymaga od swych niewolników! Taki np. amant, kreujący nieodzowną w operetce partję wodewilową, ileż on powinien posiadać doskonałości, by godnie sprostać swemu zadaniu. Oprócz „ujmujących“ warunków, musi być pierwszorzędnym komikiem, mieć wrodzony humor i temperament, powinien śpiewać jak Moryś Chevalier i tańczyć przynajmniej jak sam Fred Astaire.

We wszystkie te walory uposażyła hojnie natura młodego amanta operetkowego Teatru 8.15, Zbigniewa Rakowieckiego, który też dzięki temu zdobył sobie w krótkim przeciągu swej pracy scenicznej pełną sympatję warszawskiej publiczności, jak niemniej uznanie prasy i sfer fachowych.

Trzeba bo widzieć tego chłopca na scenie. Młodość i temperament aż kipią z każdego gestu i słowa. Głos? Właściwie żaden, ale cóż to szkodzi, gdy piosenki podane są z nieporównanym wdziękiem i humorem, których nie zastąpi najdźwięczniejszy „metal“ i nie da najlepsza nawet szkoła. A jak tańczy! Zdobyl sobie przecież tytuł pierwszego stepisty w Polsce. Jeżeli nie jest jeszcze 100-procentowym Fredem Astaire to będzie nim z całą pewnością w niedalekiej przyszłości. Tylko że wtedy porwie go nam prawdopodobnie zagranica i zagraniczny film.

— Gdzie się pan tego wszystkiego nauczył. — pytam młodego artystę.

Pan Zbyszek robi rozbrajająco zawstydzoną minę.

— To jest straszne, co muszę odpowiedzieć na to pytanie. Jestem samoukiem. Jedynie stepować nauczył mnie mistrz

„Gaby“, „Wiktorja i jej huzar“, a wreszcie gram obecnie w „Kolettcie“. W tej właśnie operetce będę miał przyjemność wystąpić gościnnie wraz z naszą primadonną Lucyną Szczepańską w Krakowie, w Teatrze im. Słowackiego.

— A po występach w Krakowie, jakie ma pan plany na przyszły sezon?

Młody artysta poważnieje.

— Plany? Hm... prawdopodobnie znów praca w operetce. Chociaż, przyznam się szczerze, że ten dział sztuki teatralnej nie zaspakaja w zupełności mych ambicji artystycznych. Pałę się do komedji, do grania w dramatycznym teatrze. No i do filmu. Wprawdzie nagrywałem już w paru filmach, między innymi „Papa się żeni“, „Kochaj tylko mnie“, „lecz to wszystko nie to“, jak powiada piosenka.

Uśmiech łobuzerski znów powraca na twarz artysty.

— Całe szczęście, że jestem młody, nie mam jeszcze dwudziestu pięciu lat — kończy z wrodzonym sobie humorem. — Może doczekam spełnienia się moich marzeń. A na razie gwizdę na wszystko! Jadę za dwa tygodnie do Zakopanego! Od czterech lat, to jest, od kiedy jestem na scenie, pierwszy urlop. Nie chce mi się wierzyć w to szczęście!

Z. Ord.

Dokończenie ze str. 8-mej.

i t. p. Może i w Polsce zobaczymy wkrótce znaczki z widokiem tamy w Porąbce lub Roznowie?

Dla uzupełnienia notujemy dalsze niewymienione dotychczas w Asie nowości: Belgja przedruk 10/40 c. oraz 2 c. zielony, herb państwa. Pełna serja włoska obejmuje wartości za 10, 20, 25, 30, 50, 75 c. 1.25 L, 1.75+—75 l, 2.75+1.25 l, 5+3 liry oraz lotnicze 25. 50 c, 1 l, +1 l, 3+2 l. i 5+3 l.

W Luxemburgu z okazji wystawy w Düdelange wydano blok 2x2 fr. w nakładzie 70

tysięcy, tak, że cena już zaraz będzie „słona“ (10—14 zł.).

Przez przeoczenie nie podaliśmy swego czasu do wiadomości, że bieżąca węgierska serja została uzupełniona dwoma znaczkami za 5 f. brązowy i 25 f. oliwny — wizerunki poetów Kölcsey'a i Vörösmarty.

W. H.

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

W Pan A. S., Lwów. Wartość znaczka, wymienionego przez W Pana, jest minimalna: 2 grosze. Jedynie gdyby zamiast kropki po

Mk. był przecinek, możnaby za niego otrzymać 50—80 groszy.

PT. Urząd pocztowy Warszawa I. — Dziękujemy za nadesłany komunikat i prosimy o następne.

PT. Urząd pocztowy Skole. — Zamieścimy w następnym numerze.

ADRESY ZBIERACZY:

Jerzy Skwirzyński, Kraków, Wielopole 1. Poszukuje korespondencji z zagranicą.

Milan Schudmek, Kraków, ul. Mikołajska 4 m. 4. Pragnie wymieniać znaczki ze zbieraczami w Marokku, Francji i Rumunji.

ŚLUB TAMARY WISZNIEWSKIEJ



Na lewo: Przed tygodniem odbył się w Warszawie ślub artystki filmowej p. Tamary Wiszniewskiej z p. Władysławem Mikoszem, dyrektorem i współwłaścicielem wytwórni filmowej „Femika-Film”. P. Wiszniewska, niedawno „odkryta” dla filmu, zajęła dzięki wybitnej urodzie i niepowszedniemu talentowi jedno z czołowych miejsc wśród młodej generacji naszych artystów filmowych. Na zdjęciu: Młoda para.

Fot. Halina Zalewska — Warszawa.



Na prawo: Jest nieomal tradycją w królewskim domu angielskim, że jeden z jego członków gra rolę podróżującego przedstawiciela W. Brytanji. Rolę tę pełni obecnie sympatyczny książę Kentu, którego mieliśmy sposobność również powitać w Polsce. Obecnie książę Kentu bawi w Jugosławiji w goście u swego szwagra księcia-regenta Pawła Karageorgewicza. Na naszym zdjęciu książę Kentu (na prawo) w towarzystwie swego szwagra.



KSIĄŻĘ KENTU W JUGOSŁAWIJI



Z TEATRU W POZNANIU

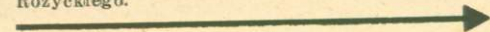


Na lewo: Teatr Polski w Poznaniu wystawił ostatnio komedję J. Ervine'a „Pierwsza pani Selby” z p. Katarzyną Zbikowską w roli tytułowej. Jako jej partner wystąpił nowo-zaangażowany artysta p. Strzelecki. Na zdjęciu: Scena z pierwszego aktu — stoją od lewej: pp. Królikowska, Jasieczek, Domański, La-
buńska i Zbikowska.

Fot. B. Cichowicz — Poznań.



Na prawo: W niedzielnym swym programie wznowiło Polskie Radio operetkę p. t.: „Przygoda w Grinzingu”, która zostanie nadana z ogrodu stacji krakowskiej przy udziale publiczności i zaproszonych gości. Na zdjęciu: Kompozytor melodyjnej „Przygody w Grinzingu”, Adam Lenczowski w karykaturze art. Różyckiego.



PRZED MIKROFONEM



Na polskiej Riwierze

Wolno posuwa się pociąg za Kołomyją. Sapię, staję na każdej stacyjce, powoli zbliżając się do błogostawionej krainy ciepła i słońca, do brzegów polskiej Riwieri — Zaleszczyk.

Ale żeby przedostać się nad słoneczny brzeg Dniestru, trzeba odbyć jeszcze „podróż zagranicę”. I to nie w przenośni.

Do Zaleszczyk jedzie się nocą. Przyjeżdża rano. Tak już jest rozkład pociągów. W pewnym momencie, gdy słońce już dobrze dogrzewa, rozespany podróżny wygląda oknem na jakiejś stacyjce i nic nie rozumie. Czy pociąg zmylił drogę? Rumuńskie napisy, rumuńskie mundury, rumuńska mowa.

Bo tak już jakoś dziwnie podzielono tu granicę, że terytorjum rumuńskie klinem wdiera się w polską ziemię. I ten klin przeciąć trzeba, na szczęście bez paszportów i wiz, aby wylądować w perle słonecznego Podola.

A słonecznego nie na żarty. Podróżny wysiada z pociągu i tonie w słońcu. W morzu słońca. Parokonna dorożka, świetnie utrzymana, jak wszystko zresztą w tym małym, a niezwykle czystym miasteczku, wiezie go w drżącym ciepłym powietrzu do pensjonatu. Którego, obojętne. Całe Zaleszczyki to jeden wielki pensjonat i, trzeba dodać, pensjonat niezwykle tani.

Morze kwiatów, las winogron, las drzew morelowych — „w tym roku nie urodziły, panie!” — cudowne promienne słoń-



Malownicze brzegi Dniestru pod Zaleszczykami.

ce, w którego blaskach leniwie, cichutko, płyną dniesrowe fale, niosąc na swym grzbiecie setki kajaków i pieszcząc tysiące na bronz spalonych ciał. To Zaleszczyki.

Piękny jest brzeg Dniestru. Wysokie skały na 300 blisko metrów wznoszą się nad zwierciadłem wody. Skały połupane w regularne płyty, na których tak dobrze ustawić leżaki i wygrzewać się w słońcu, którego reszta Polski ma tak niewiele, a Zaleszczyki tak bardzo dużo.

Cisza. Leniwe oko biegnie na drugą stronę rzeki. Wysoko wśród dużych drzew, które z polskiego brzegu wyglądają jak krzewy, mieści się stary, prawosławny klasztor. W pustkowiu zupełnym. Trzy chałupy obok. Żyją w nich mnisi, a klasztor ponoć cudowny. Raz do roku odbywają się tu odpusty, na które ściągają wielkie rzesze ludności. U stóp klasztoru źródło, z którego wodociąg prowadzi wodę do odległej o kilka kilometrów wioski niedużej. U nas niema wiosek z wodociągiem.

Życie Zaleszczyk dzieli się na dwa jasno rozgraniczone etapy. Jeden to późna jesień, zima i bardzo wczesna wiosna. Wtedy w Zaleszczykach są sami autochtoni, t. zn. żydzi i nieco Rusinów.

Na prawo: Grupa kuracjuszy na plaży nadniesztrańskiej.

Człowiek przyjeżdżający do Zaleszczyk nie jest kuracjuszem, aczkolwiek Zaleszczyki są notowane jako stacja uzdrowiskowa. Chorzy nie mają tu nic do szukania. Zaleszczyki — to miejsce wypoczynku dla ludzi zdrowych.

I dlatego w Zaleszczykach jest bardzo wesoło. Nic nikomu nie dolega. Wszyscy chcą się bawić i bawią się. Dlatego małe Zaleszczyki mają duże i piękne lokale rozrywkowe, mają danceingi i kabarety.

Główną jednak atrakcją Zaleszczyk jest Dniestr. Nad jego brzegiem wybudowano dwie plaże. Słoneczną i cieniastą. Słoneczna,



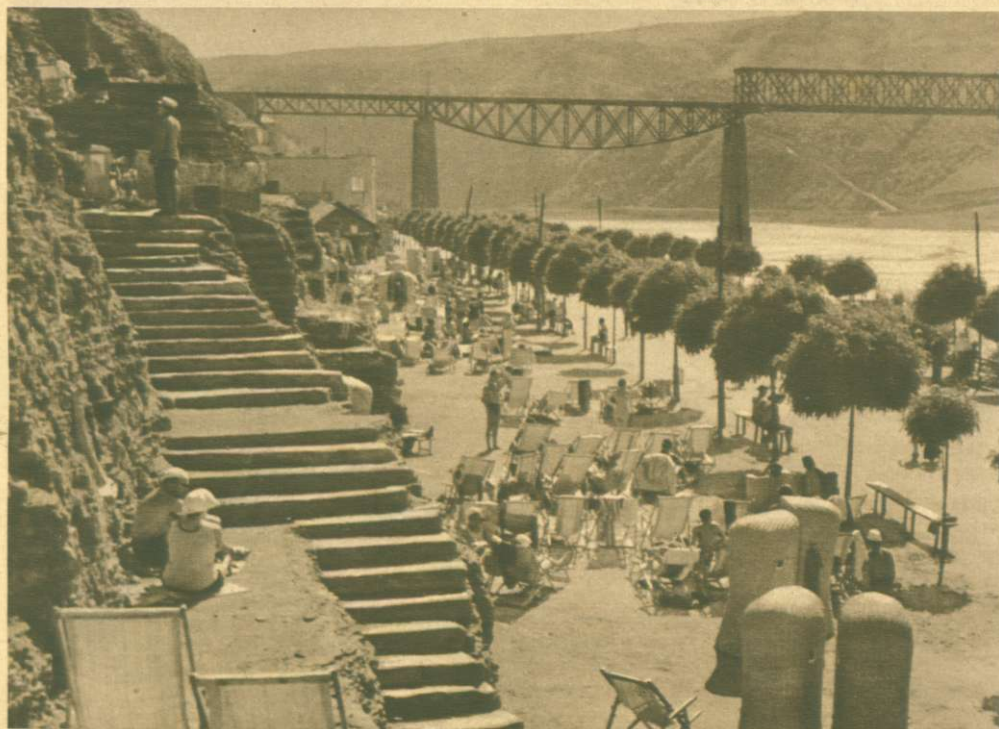
stru. W tem miejscu brzeg polski łagodnie się obniża, podczas gdy brzeg rumuński wysoko urwiskami strzela ku niebu. Ta plaża — to raj pływaków i dzieci.

Gwarno tutaj od samego rana. Woda Dniestru jest ciepła. Już o godzinie 8-mej rano ma przeciętnie 22—24 stopni, a każda godzina nagrzewa ją bardziej. W południe przekracza nieraz 35 stopni. To też tutaj panuje istne szaleństwo wody.

Na pochwałę Zaleszczyk dodać należy, że mieszkańcy dbają bardzo o letników, których dzisiaj zjeżdża tutaj w ciągu sezonu około 8000. Jest wiele dobrych pensjonatów, urządzonych wygodnie, oświetlonych elektrycznością i skanalizowanych. Przytem niskie ceny wahające się od 3.50—7 zł., przy bardzo dobrym utrzymaniu, są w dzisiejszych trudnych warunkach niemałą atrakcją. Poza tem istnieje jeszcze wiele możliwości urządzenia się zupełnie tanio, wynajmując sobie niedrogi pokój i prowadząc kuchnię we własnym zarządzie, czy też stołując się gdziekolwiek.

Przy swoich walorach naturalnych, przy tanioci i czystosci, przy starannej obsłudze przybyszów, Zaleszczyki mają wielką przyszłość. To też każdy rok przynosi wzrost frekwencji, zaś ze strony Zaleszczyk nowe udogodnienia dla tych, którzy szukają tutaj wypoczynku....

Jah-Smiechowski.



Plaża w Zaleszczykach tonie nawet jesienią w promieniach gorącego słońca.

Ale już od połowy maja Zaleszczyki zmieniają oblicze. Ze wszystkich stron ciągną tutaj ludzie pragnący słońca. A ono jest łaskawe i już w połowie maja świeci z natężeniem nieomal lipcowym innych okolic. Coraz bardziej polszceją Zaleszczyki i dopiero początek października rozpoczyna powrót do zimowego nudnego snu. Bo wtedy dopiero kończy się orgja słońca.

Wrzesień w Zaleszczykach to najcudniejsza pora. Huczy zabawą i weselem. To przecieć winobranie. Pod ciężarem gron ugimają się krzewy winogrodu. Wprawdzie winogrona niektóre dojrzewają już wcześniej, nawet w końcu sierpnia. Ale dopiero wrzesień jest porą wielkich zbiorów.

Owocowa karjera Zaleszczyk — winogrona i morele — datuje się od lat niewielu. Ale zato obecnie z każdym rokiem przybywa zajętych pod te owoce terenów. Wprawdzie z morelami jest zawsze wielki kłopot, dopisują rzadko, ale zato jak obrodzą, dają wielkie zyski. Poza tem jeszcze olbrzymie plantacje pomidorów stanowią źródło główne dochodów mieszkańców okolicznych.

rzuciona wysoko na rozpalonych skałach, nie bardzo nadaje się do kąpielii. Dno rzeki tu kamieniste, brzeg wysoki, niema piasku i uciążliwe zejście do wody. Natomiast urządzona jest pięknie, posiada liczne kosze, leżaki, piękną restaurację i muzykę. Tu przychodzą głównie ci, którzy szukają słonecznych kąpielii, ewentualnie schodzą do rzeki, biorą kajak i płyną w złościstą dal.

Po drugiej stronie Zaleszczyk leży plaża cieniasta. Ta posiada wspaniałe gęsto zadrzewione aleje i ogromną zalaną słońcem i pokrytą białym piaskiem plażę nad samym brzegiem Dnie-

Na prawo: Poranny spacer brzegiem Dniestru.



WSZYSTKIE ZDJĘCIA

FOT. dr. A. WIECZOREK — ZAKOPANE



ŚPIWKI Z ORAWY



Akompianiamt wystylizowat:
ZDZISŁAW JACHIMECKI

roj - de - my śwar - ne - go dziew - czyń - cia.

II. Poli sie mi poli...

Andante religioso.
Po - li sie mi po - li wo - gie - nek na ho - li,

ktor go tex ta sto - zoł Pon Je - zus ze sko - li.

I. Z góry huopcy, z góry...

Allegretto.
Z gó - ry huop - cy, z gó - ry, od wy - śnie -

go koń - ca, Po - kiel nie

un p. rit.

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEZONE

TOMA BLIZNY WODKINSĄ

Ze nazwisko moje figurowało po raz nie wiem już który na liście gości „Tigris Palace Hotel'u” w Bagdadzie, to trudno się temu dziwić. Świat dziwnie się skurczył w ostatnich latach, zaś szlaki, po których się włóczyłem, jakbym nie chciał, zawsze Bagdad przecinać musiały. Aleksandria, Liverpool, Marsylja, Szanghaj, Bagdad... to stare jak świat miejsce rendez vous włóczęgów — jednak... wszystko bym przypuścił, tylko nie to, że właśnie teraz w sąsiednim numerze hotelu zastanę Toma Wodkinsa.

Trzy lata minęło, jakieś się po raz ostatni w tymże „Tigris Palace” rozstawali. Tom jechał do Indyj, ja wybierałem się na dłuższą wyprawę do Jemenu i Hadramutu¹⁾. Mielśmy się spotkać po kilku miesiącach, lecz gdy ja, mimo pewnych trudności (Imam Yehia²⁾ chciał koniecznie bym się zapoznał z więzieniem w Jemenie) stawiłem się w umówionym miejscu (wysoki stółek w barze — naturalnie „Tigris Palacu”) po Tomie wszelki ślad zaginął i nie sposób było się dowiedzieć, czy znajduje się jeszcze wśród żyjących, czy też dusza jego, opuściwszy dziwnie długie, chude i kanciaste ciało, buja gdzieś w granatowych przestworzach wschodniego czy południowego nieba, ujeżdżając bajeczny Burak³⁾ lub spoczywając w cieniu rozkoźystej brody Mahometa.

Na czarnej tablicy, pod numerem 21-szym czytałem: „Tom Wodkins — journaliste”. Trudno się było mylić. Takich jak on zwrzowanych dziennikarzy mało już wólczy się po szerokim świecie.

Wszedł skrzeczący i zachrypnięty (od whisky i fajki), głos Toma nie zmienił się na jotę w ciągu tych trzech lat, kiedym go nie słyszał.

— How do you do, old boy — pówił mnie flegmatycznie, wskazując mi wygodny, trzcinowy fotel i podając butelkę szampana, których cały arsenał stał wokół stołu i pod fotelami.

Wypił duszkiem pół butelki „Cordon Rouge” i poklepał mnie przyjacielsko po ramieniu.

— Co słychać stary? Jak tam handelek? Machnąłem pogardliwie ręką. — Ciężkie czasy, bieda, kryzys... — umiałem tę formułkę na pamięć.

— Nie lżyj dramu — zaśmiał się. — Już ja tam dobrze wiem od kogo nasi kochani Arabowie zardzewiały karabiny i armaty kupują.

Spryciarz był nielada, wiedział więcej, niżby to innemu na sucho uszło.

— A co z tobą się działo?

— Phi... — znowu tyknął musującego trunku. — Zwiedził człowiek jeszcze trochę świata, było się w paru awanturkach... Ot, jak to zwykle w moim fachu.

— A czemuś na spotkanie ostatnio nie przyjechał? — wywnętrzałem się z nurtującego mnie żalu.

Spojrzał na mnie jakoś dziwnie i sięgnął znowu po szampana.

¹⁾ Jemen i Hadramut — niepodległe państwa arabskie.

²⁾ Imam Yehia — król Jemenu.

³⁾ Burak — bajeczny wierzchowiec, na którym Mahomet wstąpił do nieba.

— Pewno jakaś kobietka — co stary?

Splunął z pogardą. — Ja i kobiety... Oszałała chyba. Którabym na takiego brzydala poleciała. — Nagłym ruchem rozpiął koszulę (dopiero teraz zauważyłem, że mimo piekielnego upału miał ją zapiętą po samą szyję).

Na szaro-żółtej (jak przystało na notorycznego malarzyka), napiętej jak bęben na wystających żebrach skórze, widać było sześć strasznych, podłużnych blizn. Brały początek gdzieś koło gardła, a kończyły się prawie na brzuchu.

— Nie przyjechałem na spotkanie, bom już jedną nogą u Pana Boga za piecem siedział...

Byłem przerażony. Podobnych blizn nie zdarzyło mi się oglądać: — Co ci się stało Tom? Bójka? Napad? Możeś w Abisynji na Włochów polował lub ujeżdżał słonie w Kongo?

— Phi... Wiesz, że do Afryki i czarnych nie mam pociągu. Śmierdzą bestje. Te blizny, to pamiątka po moim ostatnim pobycie w Afganistanie.

— Thank you. Ładna pamiątka. Któż cię tak urządził?

Machnął pogardliwie ręką. — Stare dzieje. Niema o czem gadać. Grunt, że się z tego wyłazłem.

— Ponoś mi ciekawość. — Słuchaj stary, gadaj mi tu zaraz, jak tam było. Mam i ja coś ciekawego dla ciebie, ale naprzód twoja kolej.

Zyłka dziennikarska rozbudziła się w chudem ciele Toma. Poruszył się żwawiej. — Nie nabierasz mnie? Cóż tam dla mnie nowego chwiasz? — Wiedział, że zawsze różne ciekawostki noszę w zanadrzu moich wspomnień.

Zmrużył jedno oko i patrzył na mnie ze zmem z ponad długiego, upstrzonego piegami nosa, głaszcząc równocześnie jak gdyby z roztargnieniem swoją ryżą czuprynę.

Hauk wylatującego z butelki korka był dowodem, że będzie opowiadał. Siadłem wygodniej w fotelu i napełniłem nową porcję tytoniu do fajki.

Już jak Tom Wodkins miał jakąś przygodę, to warto było jej posłuchać.

* * *

— ...Trzy lata temu, jak wiesz, udałem się do Indyj. Redaktorom pism, z którymi współpracuję, zachciało się nagle opisów palenia żon, walki słoni, maharadzowskich skarbów i innych tak chętnie czytanych bzdur. Miałem jednak pecha. Nic się nie działo. Spokój, cisza na froncie. Ghandi na emeryturze, Aga Khan¹⁾ w Paryżu, fakir z łpi dopiero uczył się strzelać... Skarbów mi nie pokazano, słonie nie chciały się bić, a na palenie żon nie dostałem zaproszenia. Nie miałam więc nic do roboty, a redaktorzy naciskali coraz zawzięciej. Nie pozostało mi nic innego, jak pisanie barwno-ckliwych reportaży i wywiadów z miejscowcami udzielonymi kacykami, a do tego — jak pewnie wiesz — z moją powiększoną wątroba nie bardzo się nadaje.

Zacząłem się nudzić jak mops i zastana-

¹⁾ Aga Khan — sławny przewoźca muzułmanów indyjskich.

wiać, czy też przypadkiem nie opłaci się wstąpić do szkoły fakirów, gdy w tem, na moje nieszczęście, poczęły dochodzić pocztą pantoflową z Afganistanu wieści, że jakoby szykuje się tam jakaś ruchawka, czy też inny zamach stanu.

Nareszcie coś dla mnie! Spakowałem manatki i jak można było w tamtejszych warunkach najszybciej, znalazłem się w Kabulu.

Odtąd właściwie rozpoczyna się moja epopeja.

Wiadomość, jak to zwykle bywa, okazała się najpodlejszego gatunku kaczka dziennikarską i ja z moim pechem musiałem się właśnie na nią nabrać. Trudno... Dość, że nie wzięwszy przed wyjazdem do ręki kalendarza, zapomniałem o porach roku i w szanownej stolicy Afganistanu złapała mnie niespodziewanie zima.

Wiesz jak to w tych częściach świata bywa. Dziś piękna pogoda, świetnie wszędzie się dostaniesz — jutro, drogi zawałone śniegami i niezdatne do użytku. Tak też się miało i ze mną. Wszelkie starania, by się z powrotem wydostać do Indyj spełzyły na niczem. Żaden szofer za największą nawet opłatą nie chciał ze mną jechać. Zresztą nie dziwiłem się im. Zasy, bandy dzikich gór, stada wilków... Niezbyt ponętne perspektywy... Co było robić?

Kabul — podła miścina, coś niecoś zeuropeizowana, a właściwie kompletnie jeszcze pachnąca dziczyną, nie była wcale miłą oazą wypoczynkową. Kilkudziesięciu Europejczyków wiecznie żrących się i kłócących między sobą, i na dodatek wcale lub bardzo kiepsko grających w bridge'a czy innego pokera... Nie-muzułmaninowi nawet papierosów w mieście nie sprzedają. W pozabawionych pieców domach zimno było, jak w psiej budzie; na dobitkę kiepskie i do reszły zatruwające życie trunki... Możesz sobie wyobrazić moje położenie. Wogóle skranie Boskie. Po paru tygodniach wszystko, co było godne obejrzenia, obejrzałem, o wszystkim, co było warte, napisałem. Musiałem chyba czytać parę moich feljetonów, opisujących w różnych kolorach Afganistan. Ta różowość to była moja rozgrzewka, autosugestia, antidotum przeciwko galopującej melancholji.

Spijałem kiepskie whisky, „rznąłem” w pokera z paroma ciemnymi typami, trzymając na kolanach „kolta”, a w rękawie cztery dodatkowe asy (było ich razem koło dwunastu) no i kłamałem na czym świat stoi. Poczył ani gazet oczywiście nie było. W jaki sposób mogły się przez te wały gór i zasp śnieżnych przedostać?

Tak minęły dwa długie miesiące i nasz termin spotkania zbliżał się zastraszająco szybko. Wiesz, że nie lubię być niestównym. Musiałem więc działać energicznie.

Sam djabeł chyba przyszedł mi z pomocą. Siedzę pewnego dnia w mojej knajpie, już od kilkudziesięciu godzin napół przytomny, otoczony małemi i wielkimi butelkami wszelkiego rodzaju trunków, gdy podłazi do mnie jakiś drab i kiepską fracuszczyzną poczyną mi tłumaczyć, że jeżeli dobrze zapłacę, to on gotów jest ułatwić mi wyjazd z Kabulu.

Wierzej mi, że nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy tak szybko otrzeźwieć. Myślałem, że uściskam draba.

Ślad przy moim stoliku. Miał nieogolony podbródek, zezowate ślepią, a z pod baraniego kózucha wystawała rękojeść kindżała. Dla mnie jednak był aniołem zbawicielem. „... Za tydzień wyrusza do Persji karawana złożona z szesnastu samochodów, z pielgrzymami, udającymi się na coroczne uroczystości do świętej Mekki. Jestem jednym z szoferów. Jeżeli Mister dobrze zapłaci, to mógłbym go wziąć ze sobą...”

Układ stanął szybko. Nie liczyłem się z pieniędzmi, jeżeli chodziło o wyostanie się z tego przekłętą miasta. W jaki sposób ów typ dowiedział się, że mam zamiar już oddawna stąd wyjechać, w jaki sposób karawana miała przedostać się przez śniegi i góry do Persji... nie zastanawiałem się nad tem. Zanim byłbym szczęśliwy.

A więc, w oznaczonym dniu, okutany w futra, z dobrze nabitemi koltami w kieszeniach ruszyłem w drogę.

Szesnaście półciężarowych samochodów różnych marek, przystosowanych wyjątkowo dobrze do jazdy po bezdrożach i wśród śnieżnych zasp, wyciągnięto w długą linię. Wśród ciżby stukilkudziesięciu pielgrzymów nie zauważono mojej europejskiej, zresztą dobrze przez futra osłoniętej fizjonomii. Obeszło się więc bez jakiegokolwiek protestów, na które zresztą będąc przygotowany, miałem w kieszeni, na wszelki wypadek cesarski glejt.

Jechaliśmy w pięćdziesięciu. Szofer, ja i ośmiu pielgrzymów. W karawanie byliśmy coś szóstym od czoła samochodem.

Drogi właściwie nie było. Wokoło ośnieżone pasma górskie, zawałone śniegiem przesmyki i doliny, spadające z hukiem ze wszystkich stron lawiny, dzicz, pustka... Naturalnie ani śladu ludzkich siedlisk.

Moi towarzysze podróży, zatopieni w modłach i rozmyślaniach religijnych nie byli zbyt ciekawi. Czterech mieszczan z Kabulu i czterech brodatych górali. Olbrzymie beryce, smród baraniach kózuchów i potu ludzkiego. Prowianty każdy miał własne. Nie można było liczyć się z tem, że po drodze coś będzie można dostać. Zimno dokuczało nieznośnie, szczególnie zaś górskie wichury przesywały od stóp do głów lodowatym chłodem.

Noclegi? Zajeżdżało się przed jakąś ledwie wystającą z śniegu lepiankę, wypijało się niezliczone ilości „czaju” i rozkładało się wśród wpół zgnitych mat, by oddać swe skostniałe ciała na pastwę pcheł i innego robactwa... Identyczne noclegi każdej nocy i nic nie zapowiadało, że przedziej niż za tydzień dojedziemy do Heradu¹⁾.

Karawana rozciągnęła się na wielkim odcinku. Straciłszy kontakt z jadącymi przed i za nami. Rzadko spotykaliśmy się z któryś z samochodów na noclegu. Częściej pomagaliśmy innym wygrzebywać się z zasp śnieżnych lub odkopywać zawałoną lawiną drogę. Łopaty i oskardy były wciąż w robocie.

W górach widać było czasem otulone śniegiem wioski, nie dające znaku życia. Do naszych uszu dochodziły przeciągłe, mroźne krew w żyłach wycia wilków. Szczyty górskie rosły pod niebo, zlewały się z otwianami chmurami, lub błyszczały lodowymi wierzchołkami na tle granatowego nieba. Otwierały groźne i buczące paszczki przesmyki górskie... Urywały się ślady poprzedzających nas samochodów, zatarte wicherą lub zamiecią śnieżną... Wytwarzać — znaczyło być naprawdę człowiekiem hartu, silnej woli i jeszcze silniejszych mięśni.

Szóstego dnia droga stała się jeszcze bardziej dokuczliwa. Zerwała się silna wichura, dmąca śniegiem prosto w oczy. Wydostaliśmy się mozolnie na szerokie płaskowzgórze, otoczone zdala kołem nieprzerwanego pa-

sma gór. Drogi żadnej ni było, śladów ledwie się można było doszukać...

Od pewnego czasu czułem się nieswojo i zaczynałem wogóle żałować, że nie zostałem w przytulnym w porównaniu do naszej ciężarówce Kabulu. Zimno dokuczało mi coraz bardziej. Whisky w termosie ubywało z każdą chwilą w istic zastraszający sposób.

Na noc mieliśmy zjechać do małej wioszczyzny Khairaban, lecz jakoś nic nie zapowiadało, że przed północą tam dojedziemy. Zadymka stawała się coraz większa, a poza tem z motorem zaczynały się dziać jakieś dziwne rzeczy. Prychał, strzelał... Abdul-Hamid Moulla Khan, czyli nasz szofer, zdradzał wyraźne zaniepokojenie. Nie uśmiechała mu się widocznie perspektywa przymusowego postoju wśród śniegów i reparacji motoru w bladem świetle księżycy.

Robiło się już zupełnie ciemno, gdy motor ostatecznie odmówił posłuszeństwa. Stanęliśmy w szczerem polu, otuleni zewsząd niepokalaną białą płaszczyzną. Wiatr świstał przeciągłe, syjąc w twarz ostrymi ziarnkami lodowatego śniegu. Wokoło żywego ducha, kontakt z karawaną zupełnie zerwany...

Nerwy moje drgały. Jakiś podświadomy instynkt ostrzegł przed nieznanym niebezpieczeństwem. W jakiej postaci mogło ono nadejść?

Rozpocząłem szybki spacer wokół samochodu chcąc uniknąć nieuchronnego przemarznięcia na kość. Szofer majstrował coś przy motorze w świetle latarni, klnąc i wymyślając od ostatnich. Pielgrzymi zgromadzili się wewnątrz samochodu kuląc się do siebie jak stado kur i bijąc rękoma dla rozgrzewki po bokach i kolanach. Nic nie przerywało panującej wokoło nas ciszy.

Nagle, gdzieś w mrocznej dali rozległo się przeciągłe wycie.

„Uuuuuuu...”

Z przeciwnej strony odpowiedziało mu drugie i już po chwili w ciemnościach rozpoczął się koncert. Wilki poczęły żer.

Szofer jak koń zastrzygł uszami i ze zdwojoną energią zabrał się do reparacji. Pielgrzymi jeszcze bardziej zbili się w jedną, bezkształtną kiwiągącą się jednostajnie masę. Nie można było na nich liczyć. Owładnięci religijną ekstazą pozwoliliby się zarznąć bez jednego słowa protestu, wierząc w swoje przeznaczenie, w „kismet”.

Sprawdziłem moje koltki. Naprężenie opadło ze mnie momentalnie. Wiedziałem już, co się z nami stanie, jeżeli motor nie zostanie na czas naprawiony.

W otaczających nas czarnych czeluściach zabłyśły jakieś zielone ogniki. Jeden, drugi... Po chwili jak gdyby las jarzących się świeczek błyszczał wokoło i jakiś ledwie dosłyszalny pomruk kotłował się w powietrzu. Wichura ustała, śnieg przestał padać. Byliśmy sami wobec natury i jej odwiecznych praw.

Oparłem się plecami o samochód i przygotowałem broń. Koniec całej historii zbliżał się szybko. Przyznam się, że nie spodziewałem się go zupełnie. Czy mi było żal życia? Nie wiem. Byłem w tyłu różnego rodzaju awanturach, że poprostu straciłem poczucie niebezpieczeństwa, przestałem sobie zdawać sprawę z tego, że kiedyś jednak musi przyjsć mój „ostatni dzień”. Tak było i teraz. Wiedziałem, że zbliża się nieublagany koniec, a jednak dziwnie nie łączyłem go w myślach ze śmiercią. Nie pasowało jedno do drugiego.

Miałem sporządzać (jak to zwykle w takich wypadkach bywa) rachunek sumienia, miałem żałować, że nie będę się mógł z tobą więcej zobaczyć, myślałem o ilości wilków, które zdołam zabić, o tem jak długo będę się mógł im opierać... Widocznym było, że śmierć mi w oczy nie zaglądała, i choć nie wiedziałem o tem, natura czuła to i nie przejmowała się nadto sytuacją.

Pielgrzymi padli na kolana bijąc pokłony w stronę świętej Mekki, której najprawdopodobniej nie mieli już ujrzeć. Szofer, je-

dyny prócz mnie przytomny w tem towarzysztwie człowiek, wsadził przezornie długi nóż w zęby, w jednej ręce potrząsał latarnią zaś w drugiej trzymał olbrzymi, przedpotopowy chyba rewolwer. Nie przypuszczałem, by dużo z niego miał pożytku. W tej chwili lampa była daleko lepszą bronią.

Zbliżył się do mnie. „Obiy następny samochód nadjechał. Nie powinien być daleko...”

Nie dokończył. Z mroków nocy, jak wypuszczona z łuku strzała, wymknął się długi cień i wpadł na pogrążonych w modłach pielgrzymów. Ręka proroka dosięgła wiernych...

Nieludzki wrzask zagryzanej ofiary złączył się z krwiożerczym wyciem otaczających nas bestyj...

...Za pierwszymi strzałami zrobiło się koło mnie nieco luźniej. Parę zwierząt leżało rozciągniętych na śniegu, otaczając się powoli szybko krzepnącą kałużą krwi. Z wnętrza samochodu dochodziły odgłosy zażartej walki. Słychać było dzikie wrzaski i kwiki. Pielgrzymi widocznie w ostatnim przebiegu świadomości czy strachu, spostrzegłszy wrzask, co się dzieje, z kindżałami w ręku starali się bronić przed nacierającą na nich dziczą.

Po chwili atak na mnie powtórzył się. Olbrzymie wilczysko, mimo dwóch kul jakie w jego brzuch wpakowałem, dosięgło moich piersi i zawiściło wszczepione pazurami w kłaki futra. Uczulem przy twarzy gorącej oddech bestji... Dopiero trzecia kula skierowana w sam łeb, rozciągnęła wilka u moich stóp. Ryki i przedśmiertne wrzaski, dobywające się z wnętrza samochodu, potęgowały się z każdą chwilą. Wilki czując zapach świeżej krwi stawały się coraz bardziej natarczywe.

W pewnej chwili, czy po minucie, czy po pół godzinie od początku walki, nie pomnę już, gdyż w czasie walki straciłem poprostu poczucie czasu, spostrzegłem, że sekundującego mi dzielnie szofera niema już koło mnie. Na ziemi tylko tulała się jakaś zbita masa paru skotłowanych wczepionych w siebie ciał. Odrzucona lampa kładła na biały, opryskany krwią śnieg długie smugi czerwonego światła...

Musiałem założyć nowe magazyny. Skorzystały z tego otaczające mnie zwartym kręgiem i czekające tylko na odpowiedni moment wilki. Uczulem piekący ból w piersiach. Pod ciężarem paru ciał zwałiłem się na ubity jak na cyrkowej arenie śnieg. Jedyną moją ochronę stanowiło jeszcze grube futro, w które przezornie cały się okryłem. Uratowało mi życie.

Smród i odór wilczy zatkał mi oddech. Długie, niczem szablikskie ostre kły dosięgały już mojego ciała, rwały je, darły... Nie straciłem jednak przytomności. Ostatnim wysiłkiem woli i mięśni ładowałem pod kupą przyniatających mnie ciał moje koltki. Ból rozrywającego ciała wzmagał się, oczy mgłą poczęły mi zachodzić.

Cały magazyn, wpakowany w brzuchy szarpających mnie bestyj, uwolnił mnie od ich zbyt „intymnego” towarzysztwa. Zdołałem się podnieść i znowu zająć moją pozycję obronną, oparłszy się plecami o samochód. Półkole żadnych krwi pysków otoczyło mnie z powrotem, blisko, prawie na odległość wyciągniętej ręki...

W samochodzie krzyki ludzkie już umilkły. Słychać było tylko powarkiwanie i młaskanie języków uczujących.

Byłem ostatni... I mimo to nie bałem się śmierci. Nie czulem jej.

Strzelałem już prawie na oślep. Krew zalewała mi oczy. Postrzeżone i porwane na piersiach futro zaczynało zabarwiać się na czerwono.

Wilki już nie atakowały. Zwierzęcy instynkt mówił im, że ofiara nie długo pociągnie. Uczuwały na ciałach swych zabitych braci, nie spuszczając jednak z mojej ślaniającej się coraz więcej postaci swoich zielono lub krwawo błyszczących ślepiów.

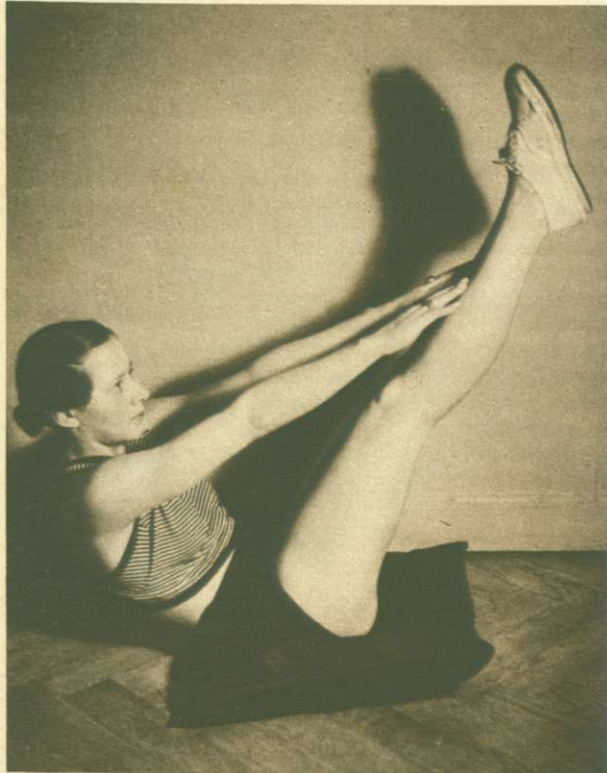
Dokończenie na str. 31-ej.



PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ
BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie XVI.



Ćwiczenie pierwsze.

Skoro już przebrnęliśmy przez tyle figur ćwiczeń fizycznych i nabraliśmy zaufania do naszej wytrzymałości i elastyczności, możemy wyegzaminować ją, podejmując się małej próby akrobatyki. Dzisiaj przyszła kolej na dwa

ćwiczenia, przydatne nie tylko dla usprawnienia naszych kości i mięśni, ale skutkujące doskonale na złe samopoczucie nerwów.

Ćwiczenie pierwsze: Siadamy na podłodze, wyprężamy nogi w pozycji leżącej, tułów wyprostowany, ramiona wyciągnięte przed siebie na wysokości pleców. Podnosimy z wolna i starannie obydwie nogi równocześnie w górę, licząc do dziesięciu, aby czubki palców u nóg dosięgły wyprężonych dłoni. Nie za pominajmy przytem o prostopadłej pozycji pleców. Musimy zwracać na to baczną uwagę, wyobrażając sobie bodaj, że potknęliśmy kij i nie wolno nam się zgiąć. Z wolna opuszczamy nogi, licząc znowu do dziesięciu.

Ćwiczenie to powtarzamy pięć razy, potem kładziemy się swobodnie na ziemi, masując brzuch lekkimi miarowymi uderzeniami.

Ćwiczenie drugie: Przykucamy, uważając, aby górna część tułowia była wyprężona. Powoli wznosimy prawą nogę i prawą ręką, starając się dłońią chwycić za czubki palców u nóg, lub bodaj ich dotknąć. Ręka i noga mają być (jednak wyprężone. W tej pozycji możemy lewą ręką oprzeć się o podłogę, lecz ta pomoc musi później od-



Ćwiczenie drugie.

paść przy uzyskaniu większej sprawności. Ćwiczenie to (powtarzamy sześć razy) na przemian lewymi i prawymi odnóżami. Później stajemy i wykonujemy kilka mocnych wahańowych ruchów nogami.

KĄCIK PANI DOMU.

Obecny sezon pomidorów, sliwek i ogórków i t. d. powinna wykorzystać każda pani domu i zaopatrzyć swoją spiżarnię w tak niezbędne zapasy na długie miesiące zimowe. Poniżej podaję parę praktycznych sposobów konserwowania i kilka przepisów.

Papryka z ziemniakami.

Duże zielone strąki papryki dobrze obmyć, ścinać im ogonki i ostrożnie wydrążyć ziarenka. Tak przygotowane napełnić masą utartą z ziemniaków, przysmażonej na maśle cebulki, surowego koperku i jajka. Ułożyć ściśle w rondelku na roztopionym maśle, zalać paru łyżkami rosolu i dusić pod pokrywą do miękkości. Na wydaniu podprawić białą zasmażką z masła i maki i podać w tym sosie.

Pomidory solone.

Dojrzałe niezbyt wielkie pomidory obetrzeć na sucho, ułożyć w szklanym słoju do pełna i zalać zimną, przegotowaną osoloną wodą, licząc na jeden litr wody 20 dkg soli. Zawiazać słój papierem pergaminowym i przechowywać w suchej, chłodnej spiżarni.

Do włośny można mieć w ten sposób świeże pomidory.

Pomidory w flaszczkach na zimę.

Dojrzałe i bez szkod pomidory wytrzeć na sucho, przekrajać na połówki i dusić najlepiej w kamiennym garnku, aż się zupełnie rozgotują. Następnie przefasować przez sito włosienne i dusić jeszcze dalej, dopóki marmelada trochę nie zgęstnieje, wtedy ponalewać w flaszki z grubego szkła, zakorkować i gotować w garnku, którego spód i boki wyłożono sianem i napełniono do połowy wodą zimną, licząc od zagotowania się pomidorów dziesięć minut. Najlepiej jest zostawić flaszki w sianie aż do zupełnego wystygnięcia.

Przechowywać w suchej spiżarni. Można dla

pewnością dodać też jedno deko kwasu salicylowego ma dziesięć kilo pomidorów, ale i bez tego, trzymając się pomidory robione powyższym sposobem świeżo i przez parę lat.

Bardzo praktycznym i przedkim sposobem jest czyszczenie flaszek wodą i zwykłym szrótem, używanym do wyrobu naboń, wystarcza minimalna ilość.

Grzybki z pomidorów jako przystawka do wódki.

Ugotować kilka jaj na twardo, obrać z dwóch stron drożdże przyejać, ustawić na półmisku i nałożyć na każdą czapkę z połówki wydrążonego pomidora i zalać gęstym majonezem na jeden centymetr wysoko, lub ugarniować francuską sałatą majonezową. Przystawka ta wygląda bardzo efektownie.

Pikłe z papryki.

Drobne strąki papryki obgotować w słonej wodzie z dodatkiem alunu. Gdy zmiękną, odlać wodę i pozostawić paprykę na sicie, aby obeschła. Pdem ułożyć ściśle w niedużych słoikach i zalać przegotowanym i ostudzonym octem. Po dwóch tygodniach ocet zlać, a zastąpić go świeżym, przegotowanym z korzeniami i ostudzonym. Na wierzeh słoików naleć trochę oliwy i obwiązać je papierem celofanowym. Pikłe z samej papryki są bardzo ostre i dlatego lepiej mieszać je z innymi jarzynami. Wystarczy czwarta część papryki, a trzy czwarte innych jarzyn, jak drobne marchewki, małe różyczki kalafiorów, maleńkie grzybki, strączki groszku i fasolki szparagowej itd. Z przyrządzeniem pikli z jarzyn postępuje się tak samo, jak z papryką.

Musztarda z papryki i pomidorów.

Przepuścić przez maszynkę od mięsa 2½ kg pomidorów, 14 strąków dużej zielonej papryki i 1 kg cebuli. Masę tę gotować na wolnym ogniu około dwóch godzin, ciągle miesząc, aby

się nie przypaliła. Następnie posolić do smaku, zalać pół litrem octu i gotować jeszcze kwadrans. Gdyby sos był za ostry, można go zładzić dodając, mniej więcej pół szklanki cukru. Gorący wlewa się do małych flaszeczek z szerokimi szyjkami, zakorkowuje i zalewa parafiną lub lakiem. Przechowuje się doskonale i w zimie oddaje lepsze usługi od zwykłej musztardy.

Papryka marynowana.

Upiec w rurze zielone strąki papryki, obracając je wiele razy, aby równomiernie zbrązowiały. Następnie obrać ze skórki, pod którą znajdziemy ładny zielony kolor strąków. Ułożyć je w kamiennym garnku, posypując solą i pieprzem, a następnie zalać niewielką ilością oliwy i octem do przykrycia całej ilości papryki. Po paru dniach marynata jest gotowa jako ostry dodatek do rozmaitych sałatek.

Konserwa z winogron.

Konserwy owocowe w spirytusie, to repertuar t. zw. „Chasse café“. Podaje się je przy wystawnych śniadaniach i obiadach w dużych płaskich kieliszkach kryształowych lub z kolorowego szkła. Winogrona do tego celu muszą być z gatunku największych, bo trzeba je drelować, a te mają tylko 1-3 pestek. Konserwę dajemy do kamiennego garnka ze szczelną pokrywą, zachowując proporcję: 3 kg winogron, ½ l cukru, ½ l spirytusu. Wydrelowane winogrona wysypujemy do garnka, w którym zalano spirytusem cukier z głowy, bo ten jest najczystszy i najprędzej się rozpuszcza. Owoców można dorzucać w miarę, jak się konserwę zużywa, trzeba jednak zawsze daną ilość zważyć i stosownie do niej zwiększać ilość spirytusu i cukru. Konserwa ta przechowuje się bardzo długo i jest znakomita. Pozostały sok jest nadzwyczaj aromatyczny i można go różnorodnie użytkować w kuchni. H-a.

Dawno już zostało dowiedzionem, że tylko ten czuje się swobodnie, kto może się wylegitymować najstosowniejszym do danej okoliczności strojem. Jakże to często ludzie, nieinteresujący się zagadnieniami mody, mieli niejedną miłą wieczór zepsuty przez to, że musieli w jasnym, może nawet sportowym ubraniu i kolorowej koszuli zasiać przy jednym stole w towarzystwie wyfraczonych lub conajmniej „wysmokingowanych“ elegantów. Kontrast ten może zbyt rażący, wypadaloby złagodzić, wymieniając choćby tylko ciemne ubranie marynarkowe, najczęściej u nas używane na wieczór. Ale w czym tkwi powód tych ubraniowych nieporozumień? — oto pytanie, które tym razem najwięcej nas interesuje. Odpowiedź na nie bardzo prosta: W nieekonomicznym przystosowaniu swej garderoby do trybu życia. Kto chce bywać wie-

Dokończenie na str. 31-ej

Na lewo, dalej:

Marynarka jedno- lub dwurzędowa w paski zwane Hydepark, najczęściej w kolorze granatowym, wchodzi od lat jako elegancki garnitur miastowy stałe w skład repertuaru ubraniowego każdego Anglika...

Na lewo, bliżej:

U Anglosasów przy ich zmiennym klimacie dużą rolę odgrywa Burberry, jako najpotrzebniejszy płaszcz, który żyje w zgodzie nawet z melonem i cylindrem, noszonym na torach wyścigowych...

Na prawo:

Wśród najczęściej przez Anglika używanych ubrań, nie powinno zabraknąć jednotonowej dwurzędówki z popielatej flaneli, do której ze względu na charakter sportowy, najlepiej nadają się buciki z brązowego zamszu...



Na lewo:

Anglik coraz rzadziej używa na codzień swego ulubionego „morning-coat'u“, który pozostał obowiązującym strojem podczas „garden-party“, uroczystości ślubnych i na turfie.

Na prawo, bliżej:

Kto tylko choć trochę zważa na swój wygląd, ten wyjeżdżając do Londynu, napewno nie obejdzie się bez fraka, bo tam, jak nigdzie indziej, życie zmusza nas do częstego używania tego pięknego stroju wieczorowego...

Na prawo, w środku:

Podczas gdy wszystkie podane tu rodzaje ubrań należą do konserwatywnego repertuaru ubraniowego Anglika, smoking dwurzędowy z miękką koszulą jest już kreacją mody męskiej z lat ostatnich...





Gdy lato
się kończy...

Wakacje zbliżają się ku końcowi. Słoneczne, upalne lato tegoroczne z wolna ustępuje pierwszemu porannym chłodom i mglistym zadumom jesiennym. Plaże i letniska roją się jeszcze od gości i rozbrzmiewają gwarem, ale coraz częściej w falach morskich przeglądają się ciężkie nawisy chmur, zamiast szafiru pogodnego nieba, coraz szybciej wieczorny mrok otula lasy i pola, czerniejące świeżo zaoaraną ziemią.

W jesieni przejrzystym powietrzu wibrują ostatnie akordy kończącego się lata. Ale piękna pani, choć wyczuwa ten nastrój, daleka jest od jesiennego melancholji. Jesień, to wszak powrót do miasta, za którym (mieszkańki wielkich miast przyznają mi to napewno) po paru tygodniach pobytu „na łonie przyrody“ zaczyna się trochę tęsknić. Jesień, to przede wszystkim początek sezonu, to okres emocji toaletowych sprawunków „mających na celu stworzenie nowej sylwetki, w myśl wskazań najnowszej mody. Podczas kiedy wypoczywałyśmy zdala od codziennych naszych prac i trosk, podczas kiedy używałyśmy wakacyjnej swobody, dzieląc czas między sporty, rozrywki towarzyskie i „douce far niente“ z zajmującą książką w ręku w wielkich pracowniach wrzała praca, a mistrzowie mody wysilali swą pomysłowość i fantazję, aby na nasz powrót do miasta przygotować największą dla kobiety atrakcję — nową modę jesienną.

W Ameryce, która zawsze i we wszystkim stara się wyprzedzać staruszkę Europę, już odbywają się pierwsze pokazy mody nowego sezonu. Choć na słonecznych plażach Kalifornji czy Florydy upały jeszcze w pełni, w Nowym Jorku piękne i wysmukłe modelki prezentują już w wielkich magazynach najnowsze modele futer, jakie

nosić będziemy tej zimy. Jeśli nie my, to w każdym razie nasze siostrzyce z za Oceanu, dysponujące odpowiednimi zasobami dolarów. — Ilustracja nasza wykazuje, że pomysłowość nowojorskich futrzarzy nie zna granic: dla każdego typu i dla każdej sylwetki umieją tworzyć odpowiednie futrzane okrycia, od majestatycznych, drapowanych, istic królewskich płaszczy z śnieżnych gronostajów, poprzez wytworne „trois-quarts“ z srebrzystych popielic, aż po oryginalny płaszcz z białej miękkiej skóry, podbitej jedwabistymi nutriami. Lansują też ładne i zupełnie nowe połączenia futra z aksamitem, co wypada najładniej przy delikatnym i miękkim futrze z breitschwanzówek. Płaszcz taki wcięty jest w pasie i rozszerzony lekko ku dołowi, zapięty na dwa rzędy ozdobnych, czy nie za dużo?! guzików, a wykończony jest kołnierzem i klapami z aksamitu. Torebka i rękawiczki zrobione są z tego samego materiału, przez co całość nabiera swobodnego wyrazu. Do takiego okrycia najładniej wygląda toczek aksamitny, ale można też nosić wracające po wielu latach do mody czapeczki z barwnych lub w jednym tonie utrzymanych piórek. Taki breitschwanzowy płaszcz,



Oryginalny kostium sportowy, ozdobiony skórzanym kwiatem (Ruth Martin).



Tualeta wieczorna z czarnej krepy, ozdobiona złotym haftem (Phyllis Gilman).

Na lewo: Płaszcz z breitschwanzów, wykończony aksamitem (Ruth Martin).



Samochodowy płaszcz ze świnińskiej skóry (Dorothy Day).

dzięki swej lekkości da się użyć już przy pierwszych jesienych chłodach, nie czekając zimowych mrozów. Jest to futro wybitnie przejściowe i najzupełniej odpowiednie na początek zbliżającego się sezonu.

Modele futer na naszych ilustracjach zaostrzą naszą ciekawość. Co też za nowości przyniosą nasze pokazy jesiennej mody, które odbędą się już z początkiem września? Nasza europejska moda, choć może nie obliczona na kieszenie dolarowych księżniczek, pod względem pomysłowości i smaku napewno nie pozostanie w tyle za amerykańską i chowa dla nas bezwzględnie wiele niespodzianek.

Nie zapominajmy, że choć sezon letni w kąpieliskach i uzdrowiskach chyli się ku schyłkowi, koniec sierpnia i września stanowią zato pełny sezon podróży i wycieczek. Upalne letnie miesiące nie nadają się tak do podróży, jak wczesna, a ciepła i pogodna jesień.

Na terenach wystawy paryskiej gromadzi się teraz najwytworniejsza publiczność, międzynarodowi turyści zapelniają wytworne hotele Wiednia czy Berlina, po gładkich autostradach europejskich szlaków mkną jedna za drugą piękne turystyczne limuzyny. Każdy, komu trudności dewizowe (modny termin!) czy też poprostu brak pieniędzy (ale o tem się nie mówi!) nie stanie na przeszkodzie, pragnie przed powrotem do codziennej pracy zaczerpnąć na dalekich szlakach turystycznych trochę noych wrażeń i emocji podróżniczych. Tak, proszę państwa, emocji! Bo choć nie podróżuje już dyliżansem poprzez góry i rzeki, poprzez bory pełne dzikiego zwierzca i zbrojów, lecz wystarczy cało i zdrowo przebyć dwie, trzy granice „zaprzy-



Futrany komplet, stylizowany na wzorach ludowych.

jaźnionych“ państw europejskich, aby zażyć prawdziwych, niefałszowanych a intensywnych emocji. Mimo komfortowych „pullmanów“, szybkich, jak ptaki samolotów i asfaltowych autostrad, c przygody w podróży wcale dziś nie trudno!

Ale piękna pani jest nieustraszona. Podróż to jej żywioł, żywioł zmienny, barwny i pełen urozmaiceń. Nie boi się granicznych rewizyj, umie rozmawiać z najsroźszymi celnikami, a jakże triumfuje, gdy uda jej się pod ich czujnym okiem przemycić jakąś suknię, kupioną na Kärtnerstrasse, marzenie nie kapelusik wyłowiony naprawdę za „bezcen“ na rue de la Paix, czy prześliczne sportowe buciki (prawdziwe angielskie!), nabyte na Bond-street w Londynie!

Każda elegancka kobieta, choćby najbardziej jej było do twarzy w strojnych wieczorowych kreacjach, nad wszystko ceni t. zw. „elegancję sportową“. A najlepszym polem do popisu w tej dziedzinie jest właśnie podróż. Strój podróżny musi być przede wszystkim solidny i w najlepszym gatunku, a najważniejszym jego akcentem są zawsze akcesoria. Szalik z najmniejszej wełny o gustownie dobranych kolorach, oryginalny skórzany kwiat w butonierce kostjumu, barwny krawat przy sportowej bluzce, najmodniejszy zegarek w skórzanej oprawce, piękna torebka z krokodylowej skóry — oto niewyczerpany repertuar, pozwalający w nieskończoność zmieniać i urozmaicać surowy charakter podróżnego kostjumu. Nigdzie tak, jak w podróży nie sprawdza się przysłowie „jak cię widzą, tak cię piszą“, to też starajmy się zawsze aby nasz podróżny rynsztunek, począwszy od kufereków i pledu, skończywszy na stroju, przedstawiał się bez zarzutu.

Lady Like.

Nowe amerykańskie modele futrzane.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

„KURA W GARNKU“. Ulubiona potrawa oszczędnych Francuzów, podawana w większości domów średniej klasy, różni się sposobem przyrządzania od naszej znanej kury z rosółu. Do tego celu użytą być może kura starsza, którą należy na parę dni przed użyciem natrzeć solą i odstawić. Do gotowania przystawia się ją nalana około 1½ litrem wody i z następującymi dodatkami: 2-3 pieczarek, kawałek cebuli, ząbek czosnku, 1 paprykar, marchewka, kilka ziaren pieprzu i spora wiązka zwykłej włoszczyzny, jaką się daje do rosółu, związaną nitką, aby ją łatwo można było po wygotowaniu odrzucić. Kura powinna się gotować bardzo powoli półtorej do trzech godzin, zależy od wielkości i starości kury. Należy pilnie uważać, aby się nie rozgotowała i jak tylko się widzi, że jest miękka, wyjąć. Pokrajaną na 4 lub 6 części układa się w ogniotrwałej dość głębokiej rynce, polewa przecedzonym rosółem i dodaje pokrajane pieczarki, marchewkę, osobno ugotowany zielony groszek (2-3 łyżek) oraz 5 dkg ugotowanego cienkiego makaronu, który należy po ugotowaniu przelać zimną wodą. Potrawę stawia się jeszcze raz na ogniu, zagotowuje i podaje wraz z rynką owiniętą serwetką.

ZIEMNIACZKI Z JAJAMI „AU GRATIN“. 1 kg ziemniaków w lupkach myje się dokładnie i gotuje w wodzie z solą i łyżeczką kminku. Ugotowane obiera się z łupki i kładzie w plastry. W rynce nieskapo natartej masłem, układa się warstwy ziemniaczki i jaja ugotowane na twardo i pokrajane w plastry. Każdą warstwę soli się i kropi masłem i kwaśną śmietaną. Wierzch potrawy posypuje się bułeczką i polewa masłem, poczem zapieka się ją przez 20 minut w gorącym piecyku. Podaje się z zieloną lub pomidorową sałatą.

BUDYŃ Z BRYNDZY. Dla zwolenników pikantnych potraw podajemy poniżej przepis na przystawkę lub kolację. 14 dkg bryndzy uciera się z łyżką masła i 4 żółtkami, szczyptą soli i odrobiną imbiru, który potrawie nadaje smaku specjalnego. Do utartej masy dodaje się pianę z 4 białek i 4 łyżki (płaskie nie kopiate) gryslika. Masę lekko wymieszana, nakłada się do formy budyniowej lub do serwetki i gotuje na parze przez trzy kwadransy. Budyń wyłożony na półmisek, kraje się w plastry i polewa rumianem masłem z bułeczką. Ten sam budyń mniej ostry sporządzić można biorąc zwykły ser w mniejszej bryndzy.

POMIDORY FASZEROWANE Z GRZYBKAMI. Drobnio pokrajane grzybki dusi się z łyżką siekanej cebuli i masła bez dodatku wody, uważając, aby się nie przypaliły. Miękkie grzybki miesza się z łyżką płatków owsianych i szczyptą pieprzu oraz soli. Masą tą napienia się wyłożone duże pomidory, ustawia je ciasno w rynce, polewa masłem i wstawia na 10 minut do gorącego piecyka. Podaje się z smażonymi ziemniaczkami lub z włoskim makaronem.

PRZEPIORKI „EN SALUIS“. Ptaszki te strzelano w niektórych okolicach w dużych ilościach, są najtłustsze i najlepsze po żniwach lub tuż przed nimi. Wypatroszone i wymyte przepiórki soli się, zawija w cienkie płaty młodej słoniny i owiażuje nitką. Brytwanke wyklada się płatkami słoniny, pokrajaniem jarzynkami, cebulką i troszką korzeni, układa na tem przygotowane ptaszki, przykrywa i stawia na ogniu. Po chwili duszenia dolewa się kieliszek czerwonego wina i łyżkę rosółu i dodusza powoli. Gotowe wyjmują się z sosu, zdejmują z nich nitkę i przekrawa na połówki. Pozostały sos zagęszcza się zasmażką i paru łyżkami madery, zagotowuje i polewa ułożone na półmisku przepiórki. Brzeg półmiska okłada się grzankami z bułki maczanymi w sosie. Płatki wysmażonej słoninki kładzie się na grzankach.

RÓŻNE CIASTA DO KNEDELKÓW ŚLIWKOWYCH.
1. Ciasto strudlowe: na kneudelki ubija się z 30 dkg mąki, 1 jaja, pół łyżeczki soli, gródku masła i tyle letniej wody, aby ciasto było wolne i ciągnące się. Ciasto wybijają się na desce tak długo aż od ręki odstaje, wtedy przykrywa się je ogrzanym rądelkiem i pozostawia przez pół godziny w spokoju, poczem się je walcuje, cienko kraje w kawałki i zawija nie śliwki do sucha otarte. Gotuje się w słonej wodzie przez 10 minut i podaje polane masłem i posypane piernikiem. 2. Ciasto serowe sporządza się z 30 dkg mąki, 2 dkg masła, 25 dkg sera i 2 jaj. Ciasto musi przez pół godziny spoczywać. Dalsze postępowanie jak wyżej. 3. Ciasto bułkowe, 6 dkg masła uciera się na pianę, dodaje 1 całe jaje i 1 żółtko, dwie otarte z wierzchniej skórki rozmoczone w mleku i następnie wyciśnięte bułki, 3 łyżeczki tartej bułki i 4 łyżki mąki. Wymieszane ciasto musi kwadrans spoczywać. Zawinięte w ciasto śliwki gotuje się w słonej wodzie przez 10 minut i podaje polane masłem i posypane suchym tartym serem z cukrem.

JABŁKA W SZLAFROKU. Średniej wielkości jabłka przekrawa się na połówki i wydrąża środką, następnie gotuje w gęstym syropie cukrowym. Jabłka muszą być na pół surowe. Z ciasta francuskiego lub kruche, wywałkowanego na grubość grzbietu noża, wykrawa się odpowiedniej wielkości kwadraty, kładzie na środku przestudzone jabłko — zbiera wszystkie 4 końce ciasta razem ponad jabłkiem, zlepia je, smaruje jajkiem i piecze w gorącym piecyku. Se. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



ELEKTRYCZNY AUTOMAT PRZYPRAWIA POTRAWY.

W doświadczalni kuchni „Wspólnota pracy dla poparcia gospodarstwa elektrycznego“ we Wiedniu wypróbowano automat, który nie tylko wypieka elektrycznie potrawy przyrządzone, ale nawet przyczynia się do automatycznego przyprawiania. Na ilustracji widzimy pomidory faszerowane, pokrajane i napelnione serem, mięszem pomidorów z pieprzem i solą przy współpracy automatu i rąk ludzkich, a następnie uduszone na kuchni elektrycznej.

7 + DNI + DOBREJ + GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

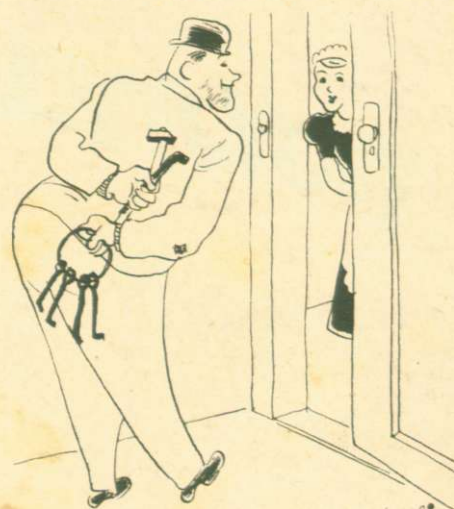
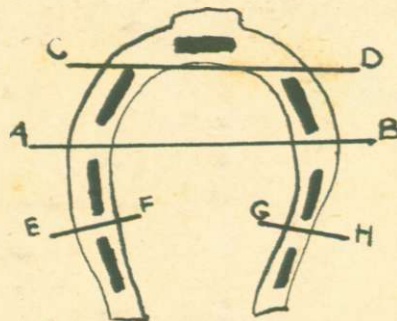
Tydzień 37		Wrzesień		30 dni
NIEDZIELA	5	Wawrzyńca	Zupa ox-tail z kluseczkami. Pomidory faszerowane grzybkami z makaronem. Przepiórki „en salmis“ z grzankami. Kompot mieszany. Kremówki. Kolacja: Mieszana wędlna z ostrą sałatką.	
PONIEDZ.	6	Zacharjasza pr.	„Kura w garnku“. Ziemniaczki z jajami au gratin z sałatą. Ryż z jabłkami wypiekany. Kolacja: Budyń z bryndzy lub sera.	
WTOREK	7	Reginy	Zupa ogórkowa z ziemniaczkami. Kotlety jarzynowe z sosem pomidorowym. Rulada z mięsa cielęcego z jarzynkami. Jabłka w szlafroku. Kolacja: Pasztet z dziczyzny na ciepło.	
ŚRODA	8	Narodz. NPM.	Rosół z kaszką krajaną. Sztuka mięsa w sosie pomidorowym. Dzika kaczka z czerwoną kapustą. Zimny budyń owocowy. Kolacja: Omlety z grzybkami.	
CZWARTEK	9	Gergojusza	Zupa jarzynowa przecierana z grzybkami. Bułeczki z mięsa rosółowego. Baranina duszona z włoską kapustą lub marchewką. Kisiel owocowy z śmietanką. Kolacja: Rydze duszone. Ziemniaczki lub chleb.	
PIĄTEK	10	Nikolaja z Tol.	Zupa śmietanowa z makaronem. Budyń grzybkowy. Szczupak lub białe ryby w sosie sardelowym. Kneudelki śliwkowe w parzonym lub bułkowym cieście. Kolacja: Wędzone ryby, chleb, sery, rzodkiewka.	
SOBOTA	11	Prota	Barszcz na rosółu z uszkami. Włoska kapusta z wody, polana masłem z bułeczką. Sznycelki pożarskie z marchewką. Kompot śliwkowy. Kolacja: Płatki z szynką.	

HOCKI-KLOCKI

DOKŁADNOŚĆ ZAWODOWA.

PODKOWA.

WAKACYJNA WIZYTA.



Najpierw trzeba zrobić cięcie AB, a następnie tak ułożyć kawałki papieru, aby cięcie CD można było zrobić równocześnie z EF i GH.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ANTEK I BOLEK.

Antek wspaniałomyślnie ofiarował bratu Bolkowi połowę posiadanych pieniędzy. Bolek, aby nie okazać się gorszym od brata, dał mu czwartą część własnych pieniędzy. Wtedy okazało się, że każdy z nich miał 5 zł i 25 gr.

Ile pieniędzy początkowo mieli Antek i Bolek?

MOTOCYKLIŚCI.

Motocyklista wyrusza z punktu A do B, odległego o 20 km. Gdy ujechał już 1 km, drugi motocyklista wyrusza z A również do B. Obydwaj motocykliści przez pierwsze 15 km jechali z szybkością 30 km na godzinę, zaś przez pozostałe 5 tylko z szybkością 25 km na godzinę.

Jak daleko od B znajdował się drugi motocyklista w chwili, gdy pierwszy dojechał do celu swej podróży?

NAZWY ZWIERZĄT.

W szyfrowanym liście, jaki otrzymał właściciel ogrodu zoologicznego, nazwy dostar-

- Czy państwo w domu?
- Owszem!
- W takim razie przyjdę innym razem.

Rys. Charlie.

czonych zwierząt były oznaczone cyframi, przyczem każda cyfra 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 i 0 oznaczała jedną literę i za tę samą cyfrę należało podstawić zawsze tę samą literę. Oto liczbowe przedstawienie nazw zwierząt, dostarczonych do ogrodu: 12342, 4512, 426, 7212, 859, 85120, 7214298. Poza tem wiadomo, że liczba 426 oznacza „Paw”.

Jakie nazwy zwierząt występują w liście?

PORTRET.

Pan Wróbel patrząc na portret, wiszący na ścianie w jego gabinecie, zauważył: „Ojciec tej osoby był synem mego ojca. Nie mam ani braci, ani synów”. W jakim stosunku pokrewieństwa jest pan Wróbel do osoby namalowanej na portrecie?

Profesor geografii do fryzjera:
— Proszę mi zwilżyć okolice północno-wschodnie i południowo-zachodnie!
(Ric et Rac).

Rozwiązania z Nru 35-go.

DRABINA OKRĘTOWA

Ta sama ilość szczebli: co i przed przyplływem, dlatego że drabina podnosi się wraz z okrętem.

DODAWANIE.

A = 2; B = 3; C = 4; D = 8; E = 9. Wobec tego mamy

2	3	4	8
2	3	4	8
2	3	4	8
2	3	4	8
9	3	9	2

BĄŁWAN SNIEŻNY.

Batwan stał 12 dni.

Dokończenie ze str. 23-ej.

Mogłem znowu nabić rewolwery i znowu bytować parę chwil na tym świecie...

W głowie poczynało mi się coraz bardziej mącić. Sił ubywało z każdą minutą. Jak przez mgłę pamiętam, że wśród napastników wybuchła walka o leżący w samochodzie tup. Jak przez mgłę widziałem skłębione ciała, błyskające białe kły. Strzelałem ciągle, nie dając się zbliżyć żadnej bestji.

I nagle, poprzez wściekły i krwiożerczy ryk dotarł do mnie jakiś znajomy głos — warkot motoru samochodowego. Czulem, że tracę przytomność. Strzały, ludzkie głosy, wycie oddalających się wilków... wszystko to wirowało mi jeszcze w głowie, by wkońcu zapaść się w jakąś beźmierną, nieograniczoną żadną ścianą ni światłem ciemnością.

Pomoc nadeszła w sam czas. Znalaziono mnie z wcepionymi w moje piersi dwoma wilkami...

...Przez długi czas ogarniała mnie ciemność. Później jakieś blade światło zaczęło w niej przeblyskiwać. Początkowo słabutkie, anemiczne, później coraz mocniejsze, coraz bardziej oślepiające zmęczone gorączką oczy. Gdy wreszcie oprzytomniałem, leżałem w ciemnej, glinianej norze na zastanym wpół zgniłą słomą barłogu. Obok siedziała okutana w chusty i kozuch kobieta, podając mi do picia jakąś miksturę. Przy każdym ruchu ciało moje przeszywały straszne bóle. Zdawało mi się, że ze skóry mnie obdzierają lub żelazo między żebra wsadzają. Co wieczór odprawiano przy mnie tajemnicze

modły, co noc niezem chiński bożek lub nakrecona lalka kiwał się nademną w oparach jałowcowego dymu jakiś brzuchaty góral...

W Khairaban, podłej afgańskiej wioszczyźnie, dokąd mnie napół żywego przywieziono, zostałem do końca wiosny. Całe długie trzy miesiące, nim straszne rany zadane pazurami i kłami wilczemi jako tako zagoiły się. Chodzono koło mnie rzeczywiście wyjątkowo, a to, że znajduję się jeszcze wśród żyjących i że możemy ze sobą rozmawiać, zawdzięczam tylko miejscowemu góralom i znachorom, którzy potrafiли unieszkodliwić zawarty w wilczej ślinie jad.

Jeszcze pół roku musiałem się leczyć w szpitalu w Teheranie nim wkońcu znowu nos na świat wystawić mogłem

Reszta pielgrzymów szczęśliwie dotarła do Mekki. Moim towarzyszom tylko było sądzone nigdy tam nie dojechać. Znalaziono ich napół obgryzionych i na miejscu, na górskiej wyżynie, wśród śniegów i srogich szczytów pochowano. — „Kismeth...”

* * *

Nowy korek wyleciał z hukem z wąskiej szyjki butelki, oznajmiając koniec opowiadania. Złocisty płyn zaszumiał w kieliszkach.

„No i widzisz — chyba nie możesz mieć pretensji do mnie za to, że nie przyjechałem na spotkanie. Miałem szczerą chęć, wier mi...”

Zapatrzyłem się w kłęby dymu, unoszące się z mojej fajki. Tak opowiadać, jak to Tom

umiał, mógł tylko taki dziennikarz, jak on. Nie opowiadał, lecz zdawało się, że czyta feljeton, czy nowelę w myśli napisaną...

Z ulicy dochodziły głosy wieczornego ruchu. Upał zmniejszał się. Do kawiarenki i nad brzegi Tygrysu wylęgły tłumy spragnionych wieczornego chłodu Arabów.

Jeszcze raz nigdy mi przed oczyma szerokie, postrzępione, straszne blizny Toma Wodkinsa.

Dokończenie z str. 27-ej

czór w towarzystwie, nie obejdzie się bez specjalnych strojów wieczorowych. Kogo znów interesują sporty, choćby tylko w charakterze widza, ten musi pomyśleć o stosownym ubraniu, by np. na torze wścigowym nie paradować w czarnej marynarce itd. itd. Tu wzorem powinni być dla wszystkich Angliki, z których każdy, średniozamożny, czy bogaty — młody, czy stary, już za młodu nauczył się, jakimi ubraniami powinien gentleman dysponować, by w okolicznościach, które stwarza jego tryb życia, zawsze wystąpić w stosownym ubraniu. Repertuar ubraniowy Anglika — to zbiór przede wszystkim najpotrzebniejszych strojów, które stanowią szkielet jego garderoby, uzupełnianej potem wzdłuż i wszerz w miarę upodobania i co ważniejsze finansowych możliwości właściciela. To minimum jednak daje Anglikowi zawsze pełną swobodę i dobre samopoczucie w każdej okoliczności życiowej.

Brummel.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

„GOPŁO” Praca ta jest w rodzaju monografii jeziora Gopla i Kruszwicy. W sposób zwiezly, a popularny, lecz oparty o wyniki badan naukowych — daje autor opis historii Gopla i jego najblizszej okolicy.

Duzo miejsca poswiecil p. Sperczyński sprawie powstania państwa polskiego nad brzegami Gopla. „Dotychczasowe badania historyczne — pisze autor w rozdziale „Kolebka państwa polskiego” — nie wyjasnily nam genezy państwa polskiego, a prehistorja sili sie, jak dotad, daremnie, na wykrycie i stwierdzenie niezbitych dokumentow. — Geografja wszakze jest w stanie wytlumaczyc szereg zjawisk, albowiem w dawniejszych czasach sploz warunkow geograficznych dzialal w znacznie silniejszym stopniu na ksztaltowanie sie „Enji zycia plemion i narodow”.

Autor stara sie oswietlic wzspolznaloznosci czynnikow geograficznych i historycznych, zwlaszcza w zaraniu naszych dziejow.

W okresie, gdy inne narody siegaja daleko wstecz, w legendarne czasy powstawania ich państw — p. Sperczyński wspomina o ekspansji starego szczepu Polan, który budujac na ziemiach nadgoplańskich nowe państwo, wykazal ogromna sile i rozmach.

Praca ta moze oddac szczegolne uslugi nauczycielstwu, gdyż uwzględniono w niej postulaty nowych programow szkolnych. — Rzecz jest ilustrowana reprodukcjami fotograficznymi i mapkami.

WYSTAWA AKWARIÓW W WARSZAWIE.

W Polsce stale odczuwa sie brak wystaw i pokazow z dziedziny przyrody, któreby umysl czlowieka oderwaly od szarej codzienności, a dajac moznośc obserwowania zbliska przyrody, staly sie źródlem nieprzecietnych wzruszen i naturalnego piekna. To tez urzadzona po raz pierwszy w roku ub. w Warszawie Wystawa Akwariow byla do pewnego stopnia rewelacja.

Obecnie wspólnem staraniem Ligi Morskiej i Kolonialnej, oraz Towarzystwa Molońników Akwariow i Terrariow zostala zorganizowana pod protektoratem pani prezydentowej miasta, Stefanowej Starzyńskiej, druga z rzędu Wystawa Akwariow i Terrariow, polaczona z propagandą morza. —

Szklarnia w Ogrodzie Saskim przeistoczyla sie w egzotyczny swiatek zyjatek, nad którym unosi sie technicznie dalekich mierz i ladow.

Wystawa tegoroczna o daleko szerszych zalozeniach i we wspanialszej oprawie, obejmuje nastepujace ciekawe dzialy: Fantastycznie piekny i różnorodny swiat podwodny ryb i zyjatek egzotycznych i krajowych w akwariach, akwaria morskie, flore i faune polskiego Baltyku, pieknie oswietlone akwarium w tunelu (te dwa dzialy pokazane sa po raz pierwszy w Warszawie). Nastepnie na wystawie jest pokaz: „Akwarium jako ozdoba mieszkania”, sa ponadto różnorodne gady i plazy w terrariach, rosliny wodne i egzotyczne, propaganda morza, modelarstwo okretowe i t. p.

Tlumna frekwencja w roku ub. byla miana wielkiego zainteresowania tego rodzaju impreza wśród najszerszych warstw ludności stolicy. Wystawa tegoroczna stanie sie niewatpliwie tembardziej popularna, przede wszystkim wśród młodziezy.

Jak wielkie wartosci dla narodu przedstawia posiadanie morza, — tego „okna na swiat”, które laczy Polskę z dalekimi, pieknymi krajinami, wymarzonemi niegdys w dzieciństwie, uświadomia sobie zwiedzajacy te wystawe, która laczyca w sobie szlachetna rozrywke i cel doniosly, wplynac moze na podniesienie kultury w społeczeństwie i budzenie szlachetnych zamilowań.

Wystawa trwac bedzie od 2 do 20 wrzesnia i otwarta jest od 9-iej rano do 21-iej wieczorem.

NA SCENIE.

KRAKÓW.

Teatr im. Slowackiego rozpoczal nowy sezon „Profesja pani Warren” Shawa, której premjera odbyla sie na zamkniecie ubieglego sezonu. Przedstawienie to nalezy do najbardziej udanych realizacyj sceny krakowskiej. Dyr. Frycz, rezyserujac utwór Shawa, wydobyl znakomicie jego walory konwersacyjne. Blyskotliwa szermierka slowna prowadzi tu: pani Warren w interpretacji pp. Janiny Wernicz, jej córka Wawja Teresy Sucheckiej, przyjaciel domu Crofts Kazimierza Fabisiaka, a ponadto pastor p. Romana Wrońskiego, jego syn — Jerzy Kaliszewski, oraz drugi przyjaciel domu — Wlodzimierz Macherski.

„Profesja pani Warren” nalezy do dawniejszych sztuk autora

„Joanny”; pochodzi z przed 40 lat, a przeciez ani troche nie traci dzisiaj „myszka”, jedynie moze efekt smialych powiedzen Shawa jest mniej gwałtowny. O ile wówczas Shaw wydawal sie musial nieslychanie zuchwaly, o tyle teraz slownik jego wydaje sie do pewnego stopnia zastosowany do wspolczesnej mody; zwlaszcza na terenie powieksi oswoilismy sie z jaskrawym ekshibicjonizmem.

POZNAŃ.

Teatr Polski wystawil komedje Johna Ervine'a p. t. „Pierwsza pani Selby”. Jest to wesola djatryba przeciwko rozwodom. Niemlody juz pan Selby chce sie zenic po raz drugi z mloda dziewczyna. Ostatecznie zwycieza „pierwsza” pani Selby. W sztuce tej wybija sie trojka aktorow: Elzbieta Labuńska (druga pani Selby), Katarzyna Zbikowska (tytulowa pani Selby) i p. Czeslaw Strzelecki. P. Labuńska zdobyła swiezo uznanie w „Dwoch mezach pani Marty” (jak widzimy, Poznan interesuje sie moeno sprawami matrymonjalnymi), obecnie potwierdzila swa klase aktorską w sposob bardzo przekonujacy. Pp. Zbikowska i Strzelecki sa nowocuznymi w grodzie Przemyslaw, ale nie nowicjuszami w kunszcie aktorskim: wyrznili sie w tej samej sztuce Ervine'a przed paru laty we Lwowie. Rezyserowal ja obecnie p. Czeslaw Strzelecki. — W pozostalych rolach grali: pp. Krolikowska, Oranowska, Jasieniczek, Domański i Roslan.

J. J.



NIEDZIELA — dnia 5. IX.

- 9.00 Transmisja nabozenstwa ze Lwowa.
- 10.45 Orkiestra Marka Webera i Zespól Light Opera Comp. (plyty)
- 12.03 Muzyka polska — poranek muz.
- 13.10 Koncert rozrywkowy.
- 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci.
- 15.00 Audycja dla wsi.
- 16.00 Pieśni i tańce ludu wielkopolskiego — koncert.
- 16.50 Ostatnia audycja Konkursu Letniego P. R.
- 17.00 „Podwieczorek na Tangach”.
- 20.40 „U progu nowego roku szkolnego” — przemowienie ministra W. R. i O. P. prof. W. Swietoslawskiego.
- 21.15 „Pożar w ministerstwie” — wesola audycja.
- 22.00 Jan Brahms: Sonata fortepianowa f-moll op. 5.
- 22.35 Artyści opery „La Scala” (plyty).

PONIEDZIAŁEK — dnia 6. IX.

- 11.40 Menuety (plyty).
- 12.40 „Od warsztatu do warsztatu: Futro na zime”.
- 16.00 „Jak wytwarzamy prad elektryczny” — audycja dla dzieci starszych.
- 16.15 Lekkie piosenki i utwory fortepianowe.
- 16.45 „Jak podróżowali dawni Polacy” — feljton.
- 17.00 Polska Kapela Ludowa F4 Dzierzanowskiego.
- 17.50 Nowa epoka w lowiectwie — pogadanka.
- 18.15 Obce piosenki w wyk. polskich spiewakow (plyty).
- 19.00 Minjatury kwartetowe — koncert z Krakowa.
- 21.45 „Pan Tadeusz” — A. Mickiewicza (wybrany fragment).

- 22.00 Pieśni Tatarów wileńskich (z Wilna).
- 22.20 Pieśni Haydna, Schuberta i Schumanna w wykonaniu Anieli Szlemińskiej.

WTOREK — dnia 7. IX.

- 11.15 Audycja dla szkól.
- 11.40 Giacomo Puccini: Fragmenty z op.: „Madame Butterfly”.
- 12.25 Mala Orkiestra Polsk. Radja.
- 16.00 „Podwieczorek pod lipa” — aud. dla dzieci starszych.
- 16.20 Lekki koncert kameralny.
- 17.00 Koncert Ork. Filharmonji Warszawskiej z Ciechocinka.
- 18.15 W dniu Swieta Brazylji.
- 19.00 „Willa do wynajęcia” skecz.
- 20.00 „Cyganka” — opera w 4-ach aktach G. Pucciniego. Transmisja z Teatru Wielkiego we Lwowie.
- 21.45 „Pan Tadeusz” A. Mickiewicza (wybrany fragment).

ŚRODA — dnia 8. IX.

- 11.40 Piotr Czajkowski: fragment z baletu „Jeziro labedzie”.
- 12.25 Koncert rozrywkowy w wyk. ork. mandolinistow.
- 16.00 „Z mojego warsztatu” — szkic literacki.
- 16.15 Pieśń w wykonaniu Chóru Pracownikow Fabryki Karabinow.
- 16.45 „Samoobrona Wilna i Grodna” odczyt.
- 17.50 „Galwani — ojciec elektryczności” (w 200-a rocznicę urodzin) — pogadanka.
- 18.15 w rytwie czardasza (plyty).
- 19.00 Słynni dyrygenci — XXI audycja (plyty).
- 20.00 Kalejdoskop — audycja muz.
- 21.45 „Pan Tadeusz” — A. Mickiewicza (wybrany fragment).
- 22.00 Zespól Henryka Kowalskiego.

CZWARTEK — dnia 9. IX.

- 11.40 Dwa wirtuozji altowki (plyty).
- 12.25 Muzyka salonowa w wyk. Kwartetu Rozgl. Krakowskiej.
- 16.00 „Wrzesień” — pogadanka dla dzieci.
- 16.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Ork. Filharmonji Warszawskiej z Ciechocinka.
- 16.45 Sprawa kobieca na forum Ligi Narodow — odczyt.
- 17.00 „Spiewajace eksponaty” — lekki koncert.
- 18.15 Słynni dyrygenci w repertuarze walcow Straussa.
- 19.00 „Wesele Elzuni” — w Teatrze Wyobraźni.
- 20.00 Koncert solistow.
- 21.45 „Pan Tadeusz” — A. Mickiewicza (wybrany fragment).
- 22.00 Wieczorny koncert w wyk. Orkiestry Symfonicznej P. R.

PIĄTEK — dnia 10. IX.

- 11.15 Audycja dla szkól.
- 11.40 Ludwik von Beethoven: Sonata Es-Dur op. 81 (z plyt)
- 12.15 Orkiestra Wojskowa z Wilna)
- 16.13 Polska Kapela Ludowa F. Dzierzanowskiego (z Nalęczowa).
- 16.45 „Z pustyni — ziemia obiecana” — reportaz.
- 17.00 „Najpiekniejsze i melodie operetkowe” — koncert z Targow Wschodnich we Lwowie.
- 18.15 Pogadanka konkursowa.
- 18.20 Orkiestra Alfreda Campoli'ego i duety fortepianowe.
- 19.00 Symfonje Beethovena — IX audycja (plyty).
- 21.45 „Pan Tadeusz” A. Mickiewicza (wybrany fragment).

SOBOTA — dnia 11. IX.

- 11.15 Audycja dla szkól.
- 11.40 Utwory Fryleryka Deliusa z plyt.
- 12.25 Orkiestra rozrywkowa.
- 16.00 Teatr Wyobraźni dla dzieci mlodszych.
- 16.30 „Pozegnanie lata” — korowód z pieśnią i muzyką po ulicach Warszawy.
- 20.00 Audycje dla Polakow zagranica
- 21.05 Las gra — ballady i pieśni Schumanna i Schuberta.
- 22.00 Tańce slowiańskie w wyk. ork. A. Hermana z Krakowa).

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa”, zamieszcza sie bezplatnie. — Niezamowionych artykulow Redakcja nie zwraca Reklamacie w sprawie nieotrzymania lub poznoego doreczania egzemplarzy nalezy wnosc niezwlocznie, pisemnie, do Urzedu Pocztowego (doreczeniowego), a nie wprost do Administracji.